

Anne Tedlock Brooks

Baśniowy rejs

Przełożył Jakub Kowalski

Rozdział 1

Lori Mason, skręcając w najbliższą przecznicę, zauważyła, że pączki tulipanów rosnących na klombie lada dzień otworzą swe kielichy. Była późna wiosna, wszyscy z niecierpliwością oczekiwali na ciepłe słoneczne promienie. Zima tego roku okazała się szczególnie surowa i przygnębiająca. Ale dzisiejszy poranek niósł zapowiedź zmiany. Tłusty drozd skakał beztrąsko po trawniku, z mijającego Lori samochodu dochodziła przyjemna muzyka.

Do przystanku podjeżdżał autobus, Lori ruszyła więc biegiem. Jeżeli kierowcą był Happy, z pewnością na nią poczeka, ale jeżeli prowadził Grumpy, mogła na to nie liczyć. Na szczęście dziś dyżur miał Happy. Otworzył specjalnie dla niej drzwi i przywitał się serdecznie.

„Będę dziś miała dobry dzień w biurze” pomyślała Lori.

Pan Simkins wróci prawdopodobnie z Detroit, miała nadzieję, że dobrze mu tam poszło. Przekona się o tym na pierwszy rzut oka.

„W każdym razie”, stwierdziła otwierając poranną gazetę i przeglądając nagłówki, „słońce pięknie dziś świeci”.

Być może w przerwie na lunch wybierze się do sklepów i kupi sobie jakiś materiał lub sukienkę.

Lori była ładną dziewczyną średniego wzrostu, z kasztanowymi włosami o lekko rudawym odcieniu i zgrabnej figurze. Ubierała się bardzo starannie, wymagała tego jej pozycja sekretarki w dużej firmie – Universal Steel Corporation. Musiała się dobrze prezentować, jej szef, pan Simkins był bardzo wymagający. Dzięki ciężkiej pracy i dobrej organizacji potrafiła sobie zasłużyć na jego uznanie.

Autobus zatrzymywał się co chwilę, zabierając kolejnych pasażerów. Lori знаła z widzenia wielu pracowników biura, rozpoznała nawet dwóch, którzy pracowali w biurze jej ojca.

Ojciec wychodził do pracy o godzinę wcześniej, tak więc Lori musiała korzystać z autobusu. Jeszcze kilka tygodni temu jeździła nim razem ze swym narzeczoną, Timem Anthonym.

Lori z całych sił próbowała nie myśleć o Timie. Byli zaręczeni przez prawie sześć miesięcy, bardzo więc przeżyła niedawne zerwanie. „Nie kochałam go tak naprawdę” powtarzała sobie bez końca i prawie udało jej się w to uwierzyć. Ale sprawy nie przedstawiały się tak prosto. Sądziła, że jeśli zajmie się czymś innym, będzie w stanie zapomnieć o dobrych chwilach spędzonych z Timem.

Zapisała się na kurs ceramiczny w college'u, do którego chodził jej brat.

Universal Steel Corporation, oprócz szpitala dla swych pracowników, utrzymywał również szkołę dla ich dzieci. Lori ukończyła tę dwuletnią szkołę, a Bill stanie się jej absolwentem w czerwcu. Susan, ich młodsza siostra, zamierzała się do niej zapisać w jesieni. Po skończeniu drugiego roku można się z niej było przenieść do stanowego uniwersytetu i kontynuować edukację. Lori również planowała studia na uniwersytecie, ale podczas wakacji podjęła pracę, która okazała się na tyle interesująca, że nie chciała z niej jeszcze zrezygnować. Pod koniec pierwszego roku pracy zaproponowano jej posadę sekretarki i przydzielono ją do biura pana Simkinsa. Artur Simkins był synem drugiego wiceprezydenta korporacji, odpowiedzialnym za dział sprzedaży, ale Lori podejrzewała, że nie czuł się na swoim stanowisku tak pewnie, jakby sobie

tego życzył.

Być może właśnie dlatego pracowała z takim oddaniem i poświęceniem. Chciała osiągnąć perfekcję we wszystkim, czym się zajmowała. Często zdarzało się jej zostawać po godzinach i wiedziała, że pan Simkins docenia jej wysiłki.

Dojechali na miejsce i Lori wysiadła z autobusu. Jej rudawe włosy opadały loczkami na czoło lśniąc w promieniach słońca. Zielony, wiosenny kostium był doskonale skrojony, Lori uszyła go własnoręcznie, z niewielką pomocą matki.

„Stałyśmy się doskonałymi krawcowymi”, pomyślała rzucając przelotne spojrzenie na swe odbicie w szybie wystawowej. Przeszła jeszcze dwie przecznice zatrzymując się tylko po to, aby obejrzeć buty i torebkę ze skóry aligatora. Świetnie pasowałyby do jej nowego kostiumu.

Jadąc w górę windą szybko przebiegła w

myślach plan dzisiejszych zajęć: spotkanie zarządu o jedenastej, w południe konferencja pana Simkinsa z szefami działu sprzedaży.

– Cześć, Lori! – przywitała ją Kitty Freeman. – Piękny kostium. Dobrze ci w zielonym.

– Dziękuję, Kitty. Czy pan Artur już przyszedł?

– Jest chyba w biurze swego ojca. Wygląda jak chmura gradowa. Chyba nie poszło mu wczoraj najlepiej w Detroit.

– Znosi się na strajk w fabryce samochodów, czy mam rację?

– Prawdopodobnie. No cóż! Zawsze można robić ze stali coś innego.

– Nie bądź taką optymistką. Nawet mój ojciec mówi, że to wszystko niedobrze wygląda.

– A on wie, co mówi. Spotkamy się na lunchu?

– Zadzwoń jeszcze do mnie. Być może

będę musiała zostać w biurze – pomachała do Kitty, która również spieszyła się do swego gabinetu.

Lori wchodząc do sekretariatu natknęła się na wracającego szefa. Skinął jej głową bez uśmiechu.

– Proszę mi przygotować teczkę Bakera, panno Mason.

– Za chwilę ją panu przyniosę – odparła przypominając sobie z zadowoleniem, że wszystkie materiały były starannie uporządkowane.

Lori spędziła przedpołudnie bardzo pracowicie, robiąc notatki na zebraniu i pisząc listy.

– Czy życzy pan sobie, abym została w biurze podczas przerwy? – zapytała.

– Nie, proszę raczej wyjść gdzieś na lunch. Będziemy dzisiaj pracować do późna – powiedział Simkins zapalając papierosa. – Cieszę się, że tak starannie przygotowała pani materiały na temat

Bakera. To wywarło dobre wrażenie podczas zebrania.

– Dziękuję.

– Panno Mason, mam dla pani jeszcze jedną dobrą wiadomość. Żadna z dziewcząt pracujących w biurze nie wiedziała, że w tym roku zarząd postanowił przeprowadzić konkurs sekretarek i w nagrodę wysłać zwyciężczynię na darmowy turystyczny rejs. Dzisiaj podjęliśmy decyzję. Najlepszą sekretarką tutejszego oddziału naszej korporacji została pani, panno Mason.

Lori była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Widzę, że ta wiadomość wywarła na pani duże wrażenie. No cóż, tak sobie właśnie to zaplanowaliśmy.

Chyba jednak działałem na własną szkodę dając pani takie dobre rekomendacje. Gdzie ja teraz znajdę taką drugą pracownicę? – dodał z uśmiechem.

– Och, przecież nie muszę przyjmować nagrody, prawda?

– Uważam, że byłoby nierozsądne zrezygnować z takiej szansy. Będzie nam tu pani okropnie brakować, ale chyba jakoś damy sobie sami radę. O ile wiem, w ciągu dwóch lat pracy u nas opuściła pani tylko jeden dzień i nie wzięła pani urlopu w zeszłym roku.

– Miałam wtedy gripę – odparła ze szczerością. Sama nie zdawała sobie sprawy, że jest aż tak solidna.

– Ta nagroda należy się pani za dobrą i pełną poświęcenia pracę. Wielokrotnie robiła pani znacznie więcej, niż wymagają tego podstawowe obowiązki. Wiemy również, że zamierzała pani pójść do college'u, ale zrezygnowała pani z tego zamiaru i zapisała się na kursy wieczorowe.

Lori wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Oczywiście nie mogła przyjąć tej

nagrody. Musiałyby przecież sprawić sobie odpowiednią garderobę i wiele innych rzeczy potrzebnych w podróży. Rodzice mieli jeszcze na utrzymaniu dwójkę młodszych dzieci, ona również wspomagała ich finansowo w miarę możliwości.

Ale pan Simkins, nie zważając na nic, zaczął opowiadać jej o rejsie, i chcąc nie chcąc, do jej uszu dotarło parę informacji.

– „Luna” zabiera około czterystu pasażerów. Rejs zaczyna się trzydziestego kwietnia, ostatecznym celem podróży jest Paryż. Będziecie płynąć przez Południowy Pacyfik.

Simkins wymienił nazwy kilku wysp, które mieli po drodze odwiedzić: Pitcairn, Tahiti, Wyspy Admiralicji, Cejlon... Lori nie wiedziała zbyt wiele na ich temat, ale brzmiało to bardzo zachęcająco.

– Nawet gdybym mogła popłynąć... – zaczęła.

– Oczywiście, że pani popłynie. Dopilnujemy tego. Jeden z naszych ludzi zatroszczy się o pani garderobę. Wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Zasluguje pani na tę wycieczkę, proszę więc nie wymyślać nowych wykrętów.

Podczas przerwy podzieliła się z Kitty tą radosną nowiną.

– Sklep Hudsona z Detroit dostarczy mi wszystkie potrzebne stroje: wizytowe, sportowe, podróżne, różnego rodzaju kostiumy. To niesamowite, prawda, Kitty?

– Po prostu wspaniałe, ty szczęściaro! Ale ta podróż naprawdę ci się należy, Lori. Sama często widywałam cię pracującą w godzinach, gdy inni pracownicy byli już od dawna w domach. Pan Simkins doceniał cię bardziej, niż sądziłaś. Gratuluję ci. O rany! Czy wiesz, że masz tylko dwa tygodnie na przygotowania?

– Jestem oszołomiona. Chyba powinnam zadzwonić do mamy!

– Wyobrażam sobie Susan. Oszaleje z radości! Lepiej od razu zaproś je do Detroit. Możemy wyprawić rodzinne przyjęcie. Co powiesz na sobotę?

– Nie mogę ci teraz obiecać. Po prostu sama nie wiem, co mam robić.

Rodzina jednak dobrze wiedziała, co Lori powinna zrobić.

– Nie bądź głupia. Nie codziennie dostaje się darmowy bilet na podróż do Europy – przekonywała ją Susan.

– Wszystko masz za darmo. Firma będzie ci płacić pensję za okres twojej nieobecności. Pomyśl, jak to zdopinguje innych pracowników – dodał Bill. – Jedź i baw się dobrze, Lori. Nie zapomnieliśmy, że zrezygnowałaś ze studiów na uniwersytecie. Matka i ja często mamy z tego powodu wyrzuty sumienia – radził ojciec.

Lori uścisnęła jego dłoń.

– Wiesz, że gdybym bardzo chciała, to

zaczęłabym studia.

Po wypadku samochodowym ojca, który zdarzył się trzy lata temu, sytuacja finansowa rodziny uległa znacznemu pogorszeniu. Lori nigdy nie mówiła o tym głośno, ale był to jeden z powodów, dla których nie porzuciła pracy w biurze.

– To niesamowite, po prostu niesamowite – gorączkowała się Susan. – Jak ty możesz traktować to tak spokojnie? Pewnie nie będziesz mogła dzisiaj zasnąć z emocji?

– Chyba masz rację. Przyniosłam ze sobą kilka reklamowych broszurek. „Luna” jest dość nowoczesnym statkiem, na tyle luksusowym, że nawet w klasie turystycznej zapewniają doskonałą obsługę. *Jestem* podekscytowana. Wszyscy uważają, że powinnam jechać, nawet pan J. B. , które wezwał mnie dzisiaj do siebie i pogratulował zwycięstwa.

– A więc sprawa załatwiona. Jakbym

słyszał jego głos! Założę się, że właśnie on wymyślił ten egzotyczny rejs. Jim to porządny gość! – uśmiechnął się ojciec.

Czy widziałaś się z Timem Anthonyem?
– spytała Susan.

Lori potrząsnęła przecząco głową i zaczerwieniła się z lekka.

– Tim jest zbyt zajęty swoją nową dziewczyną. A zresztą, co go to obchodzi.

Ręce zaczęły jej lekko drżeć, żałowała, że Susan poruszyła ten temat. Wspomnienie o Timie zagłuszyło nieco jej radość. Chcąc się uwolnić od nieprzyjemnych wspomnień zapytała matkę, czy może się w sobotę wybrać razem z Kitty na zakupy do miasta.

Okazało się, że jest jeszcze mnóstwo spraw, które należało załatwić przed dwumiesięcznym wyjazdem. Niemal w ostatniej chwili Lori dowiedziała się, że na zastępczynię na jej miejsce wyznaczono Kitty. Usiadły kiedyś razem i Lori

zdradziła jej kilka swoich zawodowych tajemnic.

– Pamiętaj, że pan Simkins lubi bardzo gorącą kawę z jedną łyżeczką cukru. Na tacy nie może być nic więcej oprócz filiżanki. Musisz też mieć zawsze pod ręką butelkę aspiryny. Łącz. tylko rozmowy ściśle dotyczące interesów, wszystkich innych rozmówców proś o numer, pod którym można ich zastać. Szef nie lubi, kiedy mu się marnuje czas.

Wkrótce Lori miała tak serdecznie dość tego zamieszania, że z ulgą przyjęła dzień odlotu do San Francisco – portu, z którego wypływał statek.

Cała rodzina, i oczywiście Kitty, planowała wyprawę na lotnisko, aby towarzyszyć Lori aż do ostatniej chwili. Gdy w przededniu wyjazdu wychodziła ze swego biura, natknęła się na Tima Anthony'ego.

– Jak się masz, Miss Ameryki.

Słyszałem, że jutro wyjeżdżasz.

Zatrzymała się z bijącym sercem. Po co zaczynał tę rozmowę? Stali teraz w opustoszałym holu, a Lori odczuwała przemożną chęć ucieczki. Zmusiła się do odpowiedzi.

– To niesamowite, prawda Tom?

– Każdy marzy o podróżach. Widzę, robisz sobie wakacje po ciężkiej pracy dla Universalu.

– Między innymi, chociaż prawdę mówiąc nie nudziło mi się tutaj. Muszę już lecieć, mój brat miał po mnie wpaść.

Jeśli się go pozbędziesz, to zaproszę cię na drinka. Sam cię później odwiozę do domu.

– Dziękuję za propozycję, ale chyba nie skorzystam. Dobranoc, Tim.

Próbowała jak najszybciej zapomnieć o tym spotkaniu. Następnego dnia pożegnała się z całą rodziną i znalazła się po raz pierwszy w życiu na pokładzie dużego

jumbo-jeta. Chciała się zdrzemnąć, ale przeszkadzał jej w tym ciągle pojawiający się przed oczami obraz Tima. Miała nadzieję, że przed końcem podróży będzie już wyleczona z uczucia do niego.

Wprost z lotniska zawieziono ją do portu. Czowała się nieco samotnie w otaczającym ją tłumie, ale nastrój poprawił jej się, gdy ujrzała swoją niewielką kajutę i telegramy z życzeniami przyjemnej podróży. Czekały na nią również prezenty: kosz owoców od pana Simkinsa, perfumy od koleżanek i słodycze od rodziców. Lori poczuła, że jej oczy wilgotnieją ze wzruszenia.

„Jestem taka głupia i sentymentalna”, pomyślała.

Odświeżyła się nieco i wyszła na pokład. Silniki już pracowały i kadłub lekko wibrował. Z zainteresowaniem spojrzała na stojącą obok niej grupkę ludzi. Brat z siostrą, jak się można było

domyśleć po wyglądzie, i troje starszych osób. Ciemne oczy młodego mężczyzny podchwyciły spojrzenie Lori. Uśmiechnął się lekko, skinął głową i odwrócił się do dziewczyny, z którą rozmawiał. Jego siostra również spostrzegła Lori i pozdrowiła ją uśmiechem. Ich przyjacielskie zachowanie dało nadzieję, że Lori nie będzie się czuła osamotniona na tym wielkim statku.

W końcu ruszyli. Holowniki wyprowadziły statek z zatoki, a gdy byli już na pełnym morzu. Lori wróciła do swej kajuty. Do drzwi zastukał steward proponując pomoc przy rozpakowywaniu bagażu. Pokazał jej, jak najwygodniej może rozmieścić swoje rzeczy i poinformował, że zostanie jej wskazany stolik, przy którym będzie jadała posiłki w trakcie rejsu.

Dowiedziała się również, że basen na pokładzie jest do dyspozycji pasażerów

przez cały dzień. Można było również grać w tenisa, karty, potańczyć i spędzać mile czas na wiele innych sposobów.

Rozległ się gong wzywający na obiad. Lori przebrała się w sukienkę i ruszyła w kierunku jadalni. Kelner zaprowadził ją do stolika. Z radością zauważyła, że siedzą przy nim również młodzi ludzie, których zauważyła jeszcze podczas postoju w porcie.

– Nazywam się Douglas Tinsley, a to jest moja siostra, Janet – przedstawił się jej towarzysz. Lori również podała im swoje nazwisko i powiedziała, że pracuje jako sekretarka w dużej firmie produkującej stal.

– Janet jedzie do Europy, a rodzice prosili mnie, abym z nią popłynął i pomógł jej się zadomowić w nowej szkole. Zamierza od września rozpocząć naukę na Sorbonie. Pomyślałem, że taka podróż może być całkiem przyjemna i

skorzystałem z propozycji – wyjaśnił Tinsley.

Mój brat jest zbyt skromny. Projektuje mosty i właśnie zakończył pracę nad bardzo skomplikowanym projektem dla Bethlehem.

– To firma zajmująca się budowlami ze stali, prawda? – zapytała Lori.

– Mamy więc ze sobą coś wspólnego. Pani firma produkuje stal, a moja ją wykorzystuje – zauważył.

Przedstawił również pozostałe osoby siedzące przy stole: ponurą kobietę i jej starszą ciotkę, oraz pana Lane'a z nastoletnią córką, którzy zamierzali opuścić statek w Honolulu.

Jedzenie było wyśmienite. Lori stwierdziła, że przy takich pokusach trudno przyjdzie jej zapanować nad apetytem.

Może byśmy wybrali się dzisiaj razem na basen? – zaproponowała Janet. – Ja

przygotowywałam się stopniowo do dużej dawki słońca, ale ty musisz zachować ostrożność, by nie narazić się na poparzenie.

– Masz rację. Zacznę od krótkiego pobytu na basenie. Mam nadzieję, że szybko się przyzwyczaję. Do zobaczenia na basenie o czwartej.

Lori była tak zmęczona, że po obiedzie chwilę się zdrzemnęła. Po obudzeniu się rozpakowała resztę rzeczy, wzięła prysznic i założyła jeden ze swych kostiumów kąpielowych.

Tinsleyów nie było jeszcze na basenie, wskoczyła jednak do wody i przepłynęła parę długości. Bardzo lubiła pływać i nurkować. Po chwili pojawili się Janet i Douglas.

– Nieźle ci idzie – pochwaliła ją Janet. – Ja jestem bardzo kiepskim pływakiem.

– Woda jest naprawdę wspaniała – zachęciła ją Lori. – Wskakuj!

Douglas, w przeciwieństwie do siostry, pływał bardzo dobrze, widać było, że sprawia mu to dużą przyjemność. Podpłynął do ciągle stojącej na brzegu Janet i złapał ją za kostki.

– Ani się waż, Doug! – krzyknęła. – Sama wejść, kiedy będę miała ochotę.

– Straszny z niej tchórz – powiedział zwracając się do Lori. – Popływamy, panno Mason? A właściwie, skoro mamy zostać przyjaciółmi, proponuję abyśmy mówili sobie po imieniu. Zgoda?

– Zgoda – uśmiechnęła się Lori.

Przyłączyli się do grupki bawiącej się w wodzie dużą plażową piłką. Po chwili Tinsleyowie stwierdzili, że mają ochotę na drinka, narzucili więc na siebie szlafroki i razem z Lori skierowali się do baru. Przy sączącej się z głośników cichej muzyce tańczyły trzy pary. Dziewczęta zajęły miejsca, a Douglas poszedł zamówić dla nich coś do picia. Nieprzyzwyczajona do

alkoholu Lori poprosiła o daiquiri. Rozmawiali o szkole i swoich rodzinach. Janet wyznała, że z niecierpliwością oczekuje na przybycie do Paryża i rozpoczęcie nauki w tamtejszej uczelni.

Douglas przedstawił dziewczyny dwóm parom, z którymi zdążył się już wcześniej poznać. Wszyscy siedmioro zgodnie postanowili wziąć udział w pierwszym podczas tej podróży wieczornym dancingu, a rano być może zagrać w brydża.

– Zamierzam spać do południa, jeśli tylko zostawicie mnie w spokoju – stwierdziła Janet.

- – Przespałabyś całą drogę aż do Hawajów, gdybym cię nie budził od czasu do czasu – zaśmiał się jej brat. Zaczęła się rozmowa na temat przewidzianych w programie wycieczek na wyspy. Zapowiadały się bardzo interesująco, wszyscy mieli nadzieję, że będą się dobrze podczas nich bawić.

Po kilku dniach Lori przywykła do nowego trybu życia.

„Właściwie daty przestały mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie”, zapisała w pamiętniku. „Nasza zależność od zegarów w normalnym życiu wydaje mi się obecnie śmieszna. Na pokładzie »Luny« czas jest mało istotny. W obecnej chwili nie sądzą, aby ta podróż miała przynieść jakieś zmiany w moim życiu, chociaż z pewnością będę ją pamiętała aż do końca swoich dni”.

Rozdział 2

„Luna” na pełne trzy dni zawinęła do portu w Honolulu. Pasażerowie mogli zwiedzać wyspę indywidualnie lub w grupach z przewodnikiem. Prawie wszyscy opuścili statek wkrótce po wpłynięciu do malowniczej zatoki. Lori przeczytała sporo na temat Hawajów, знаła je z licznych zdjęć, planowała więc wykorzystać każdą nadarżającą się okazję do wycieczki na ląd.

– Może przyłączysz się do naszej grupy?
– spytała ją Janet, zanim wpłynęli do portu. – Zamierzamy się spotkać z przyjaciółmi, z pewnością przygotowali bardzo interesujący program pobytu. Mają tu duży dom i zaprosili nas do niego na pierwszy wieczór i noc. Proszę cię, jedź z nami, będziesz tam mile widzianym gościem!

– Nie chciałabym się narzucać.

– Co to znaczy „narzucać”? Na Hawajach nie znają tego wyrażenia, jeśli chodzi o przyjaciół lub turystów. Wszyscy tutaj są bardzo mili i gościnni, przebywanie z nimi to prawdziwa przyjemność. Musisz z nami pojechać! Nalegamy – włączył się do rozmowy Douglas.

– No dobrze. Jak mogłabym odmówić?

– zgodziła się Lori. Zawsze marzyła o dokładnym zwiedzeniu egzotycznej wyspy, a przewidziano tylko trzydniowy postój.

Państwo Shane byli przyjaciółmi rodziców Tinsleyów. Mieli dwie córki mniej więcej w wieku Janet i trochę młodszego syna. Przyjechali do portu, aby serdecznie powitać wszystkich gości. Lori od razu poczuła się dobrze w ich towarzystwie.

Po lunchu zaplanowano wycieczkę po

okolicy. Lori podziwiała piękno ocienionych palmami ulic i luksusowe hotele. Honolulu było największym miastem wyspy, żyło tu prawie dwie trzecie miejscowej ludności. Po drodze obejrzeli kilka najbardziej interesujących miejsc: Muzeum Biskupie, pałac Iolani, budynek sądu, pomnik króla Kamehamedy.

– Jest tu sporo ciekawych rzeczy – powiedziała Barbara, jedna z córek państwa Shane'ów.

– Wyspa, na której się znajdujemy, jest niemal dwa razy większa od wszystkich wysp wchodzących w skład archipelagu razem wziętych. I dzięki aktywności wulkanów, jej powierzchnia ciągle się powiększa – poinformował ich pan Shane.

– Przez najbliższe dni będziecie zarzucani wiadomościami na temat wyspy – zaśmiała się Ellen, druga z córek. – Jeśli wam się to znudzi, nauczymy was tańca

hula, który oczywiście zobaczycie dziś wieczór.

Jechali wysadzaną palmami aleją, na której końcu Lori dostrzegła duży biały budynek. Pan Shane skierował samochód ku głównemu wejściu i zaparkował na placyku przed domem. Piękno tego miejsca zupełnie oszołomiło Lori. Przypominało jej widok rezydencji na plantacjach w Luizjanie, z tym, że ten budynek był nowoczesną wizją starego południowego stylu. Wszystko wokół tonęło w bujnej tropikalnej roślinności, w najbliższej okolicy krzątało się pół tuzina służących.

Janet i Lori zabrały ze sobą ze statku małe walizeczki, w których mieściły się ich kostiumy kąpielowe, lekkie sukienki na wieczór i piżamy. Po przybyciu na miejsce zostały zaprowadzone do swoich pokoi.

– Żałuję, że nie możecie tu zostać przynajmniej przez tydzień. Trzy dni

wystarczą zaledwie na posmakowanie tutejszej atmosfery. A może jednak się zdecydujecie na dłuższy pobyt? Mogłybyście polecieć do Tokio samolotem i tam złapać swój statek.

Obiecałam trzymać się ściśle programu wycieczki – odparła Janet. – A poza tym tatuś powiedział, że muszę skosztować wszystkich możliwych atrakcji i myślę, że miał rację.

Czy widziałaś kiedyś piękniejszy pokój? zachwycała się Lori, kiedy zostały już same. – Mogłabym tu siedzieć w nieskończoność gapiąc się po prostu przez okno. Nigdy nie sądziłam, że pocztówkowe widoczki mogą się okazać prawdziwe.

Wkrótce miano podać lunch. Dziewczęta założyły podarowane im przez Shane'ów wieńce z kwiatów i były niemal gotowe do zejścia na dół. Lori przejrzała się w lustrze i zachichotała na swój widok.

– Nie ma się z czego śmiać. Na tobie te kwiaty wyglądają wspaniale, mój brat ci to z pewnością powie, jeśli tylko dasz mu szansę.

Zasiedli w ogrodzie przy pięknie nakrytym stole. Otaczały ich stare drzewa i piękne orchidee, stwarzające niepowtarzalny nastrój. Wszyscy jedli z apetytem. Dbająca o swą linię Lori wybrała sałatki i chude mięso. Podczas posiłku towarzyszyła im hawajska muzyka dobywająca się ze stojącego w pokoju magnetofonu.

– Dziś wieczorem zagra dla nas prawdziwa orkiestra zapowiedziała Barbara. – Podczas przyjęcia podane będzie pieczone prosię na liściach *ti*, przygotujcie się do jedzenia palcami, gdyż nie będzie żadnych widelców.

– Nie mogę się już doczekać – stwierdził z zainteresowaniem Doug. – A czy będziemy mieli możliwość

uczestniczenia w *hukilail*?

Wspólne łowienie ryb przy pomocy sieci było wśród turystów niemal tak popularną rozrywką jak pływanie na deskach surfingowych.

– Zobaczymy, czy po południu uda nam się zabrać cię na przeciwny kraniec wyspy – obiecał Bob. – Oczywiście mógłbyś wtedy stracić wycieczkę do wulkanów i specjalnie zorganizowany przelot na wyspę Maui.

Zwracając się do Lori pan Shane wyjaśnił, że jedną z popularniejszych atrakcji jest największy na świecie czynny wulkan znajdujący się w Parku Narodowym.

– Krater jest tak duży, że z łatwością zmieściłby się w nim nowojorski Manhattan. Na sam szczyt można się dostać tylko na końskim grzbiecie. Zobaczycie utwory zastygniętej lawy i niezwykłą roślinność rosnącą w

wulkanicznym środowisku – dodała Ellen.

– Tam jest fantastycznie – zachęcała Barbara. – Radzę ci pojechać razem z nimi. Na ryby możesz się wybrać kiedy indziej.

Dalsza rozmowa dotyczyła kolejnych turystycznych atrakcji. W końcu Barbara zauważyła:

– Wiem, że to wszystko brzmi jak oferta agencji turystycznej. Trochę się zapędziliśmy. Być może wolelibyście po prostu obejrzeć w kinie jakiś amerykański film lub wybrać się do teatru? To by się dało zorganizować.

– Och, nie! – zaprotestowała Lori. – Takie rzeczy możemy zrobić po powrocie do domu. Wasze propozycje wycieczek wydają mi się wspaniałe, o ile tylko Janet i Doug również na nie przystaną.

– Oczywiście, że tak – przytaknęła Janet. – Bardzo się cieszę, że możecie nam poświęcić tyle czasu.

Po krótkiej drzemce całe towarzystwo ruszyło na wycieczkę po wyspie. Pan Shane został wezwany telefonicznie do swego biura, ale pozostali załadowali się do rodzinnego samochodu przeznaczonego do terenowych wyjazdów. Zatrzymywali się przy wszystkich ważniejszych turystycznych atrakcjach, choćby na kilka minut. Mijali po drodze całe kilometry zielonych pól. Jak im wyjaśniono, dużym problemem były bujnie pieniaące się na całej wyspie chwasty.

– Wspominanie o problemach brzmi w tym pięknym miejscu niemal jak świętokradztwo, ale prawdopodobnie wszystko ma swoje złe strony – mruknął Douglas.

– Być może – odparła siedząca obok niego Lori. – Ale w tym momencie nie przychodzi mi nic takiego na myśl. No, może oprócz tego, że nasza wizyta musi się kiedyś zakończyć.

Wrócili do domu Shane'ów w ostatniej chwili. Zdążyli tylko wziąć prysznic i przygotować się na *luau* i wieczorną zabawę, zaplanowaną na ten wieczór u sąsiadów.

Pani Shane, wypoczęta i specjalnie ubrana na tę okazję, zaczęła rozmowę z Lori.

– Jak miło jest mieć Tinsleyów za przyjaciół – powiedziała. Bardzo dziwiłam się, i jednocześnie ucieszyłam, kiedy powiedzieli mi, że ten rejs to nagroda dla ciebie za wzorowe wykonywanie obowiązków. Nasze dzieci powinny wiedzieć, że za dobrą pracę czeka nagroda. Założę się, że twoi rodzice są z ciebie bardzo dumni.

Wzmianka o biurze rozbawiła Lori. To wszystko wydawało jej się tak nierealne, tak odległe od tego raj. Budziki, autobusy, dyktowanie listów nie miały najmniejszego związku z rejsem po

południowym Pacyfiku.

– Zróbmy im kawał, zamieńmy się sukienkami – zaproponowała Ellen. – Chociaż twoja będzie na mnie trochę za długa – dodała zasmucona.

– Wzięłam ze sobą specjalną nylonową sukienkę, jak poradziła mi Janet. Nie jest to nic nadzwyczajnego, ale ma interesujący kwiecisty wzór.

Czwórka dziewcząt zamieniła się sukienkami. Gdy trzeba było coś skrócić lub wydłużyć, korzystały z pomocy gospodyni, która już nieraz radziła sobie z takimi zadaniami.

Lori westchnęła, gdy zobaczyła przeznaczoną dla niej sukienkę. Zrobiona była z materiału w kolorze brzoskwini i wykończona na brzegach delikatną koronką. Doskonale pasowała do jej świetnej figury. Trzymała się na cienkich paseczkach i niemal zupełnie odsłaniała plecy.

– Musisz mieć tę sukienkę – stwierdziła Ellen. – Kiedy moja matka ją kupiła, uznałam, że zupełnie mi nie pasuje. Wyglądasz w niej bosko. Zachowaj ją dla siebie, proszę.

Jesteś najhojniejszą osobą, jaką spotkałam. Odkupię ją od ciebie, albo pójdziemy do mojej kajuty i weźmiesz sobie coś w zamian.

– Tę hojność musiałam odziedziczyć po dziadku – zaśmiała się Ellen. – Podobno oddawał przysłowiową ostatnią koszulę. Dobrze, wezmę od ciebie spodnie i podkoszulek. Zgadzasz się?

– Byłby to najlepszy interes w moim życiu. Ale wiesz, co zrobimy? Podasz mi swoje rozmiary i po powrocie do Detroit przyślę ci coś od Hudsona. Obiecuję.

Wieczór okazał się szampański. Towarzystwo zeszło na plażę około ósmej: Hojnie serwowano najwymyślniejsze trunki. Ku uciesze zebranych na niebie

pokazał się ogromny księżyc, który rozświetlił ciemne wody oceanu migoczącą, srebrzystą łuną. Nad samym brzegiem wybudowano małe molo, do którego mogły przybijać łodzie. Na łódkach siedzieli tubylcy grający kojącą muzykę.

– Umieram z głodu – szepnęła Janet do Lori. – Zwłaszcza, że wokoło rozchodzi się aromat smażonego mięsa i kawy *kona*.

– Już wkrótce będzie gotowe. Nie napychaj się tymi przystawkami – ostrzegł ją brat. – Nie zostanie ci już miejsca na kolację.

Niedaleko molo postawiono podium do tańca. Lori zdążyła zatańczyć dwa kawałki z Douglasem. Bob również poprosił ją do tańca, ale w porównaniu z Tinsleyem wydał jej się za młody i zbyt prostolinijny. Obejmował ją mocno i cały czas szeptał do ucha, by została jeszcze tydzień. Chciał zabrać ją samolotem na Filipiny, a nawet

na Cejlon, jeśli tylko zgodzi się zostać.

– Dołączysz do nich później. Po kilku dniach na pokładzie dostaje się kota. Nie znudzi ci się to?

– Nie sądzę, Bob. – Lori niezauważenie udało się nieco rozluźnić jego uścisk. – Jak dotąd jest wspaniale. Nie śniło mi się nawet, że może być tak przyjemnie. Prawdę mówiąc, byłam sceptycznie nastawiona do tego rejsu.

– A więc już nigdy więcej się nie spotkamy – powiedział zasmucony.

Ucieszyła się, że w tym momencie odbił ją Douglas.

– Wielkie dzięki za wybawienie. Zachowywał się jak uczeń. Chce, żebym została tu jeszcze przez tydzień, miesiąc, a może rok – Lori zaśmiała się lekko.

– Niezły pomysł. I co ty na to?

– Wiesz, Douglas, ta wyprawa bardzo, mi się podoba. Kiedy jest się na takim rejsie, można zupełnie zapomnieć o

wszystkich czekających w domu obowiązkach.

– Takie niespodziewane wakacje dobrze ci zrobią. Miałem szczęście, że zdecydowałem się na ten rejs. – Jego ręka zacisnęła się mocniej na jej talii.

Rozległ się dźwięk gongu. Kolacja była gotowa.

Dołączyli do innych na molo. Przygotowano sześć stolików i ogromne wózki, na których rozwożono wielkie tace z jedzeniem, tak, że goście mogli nabierać sobie do woli.

– To coś wyjątkowego, Doug. Będziesz mi musiał pomóc, sama nie wiem, co to za dziwne potrawy – stwierdziła Lori.

Wiedziała już, jak wygląda i smakuje nektar z ananasa, sos z mango, guawy i banany *kona*. Teraz kusily ją nowe potrawy, których jeszcze nie znała.

W trakcie kolacji pojawiły się tancerki hula i zabawiały ich przy wtórze łagodnej

muzyki. Dokoła rozlegał się śmiech i gwar rozmów. Zabawa trwała do dziesiątej. Zerwała się lekka bryza, wszyscy wrócili do domu.

W dużym salonie zaczęło tańczyć kilka par, starsi goście zajęli się grą w karty, czas mijał bardzo szybko.

Okolo pierwszej Lori i Tinsleyowie udali się do swoich pokoi, a o drugiej światła w wielkim domu pogasły na dobre.

Lori zasnęła natychmiast. Obudził ją ptasi śpiew i promienie słońca. Jednym z „rannych ptaszków” okazał się Douglas, który rzucał małymi kamykami w okno pokoju dziewcząt. Jego siostra wyjrzała na zewnątrz. Doug nalegał, żeby wszyscy poszli popływać, na co dziewczyny chętnie przystały. Choć minęła już ósma, siostry Shane i ich brat wciąż spali. Pani Shane zjadła wcześniej wraz z mężem śniadanie i teraz wydawała polecenia służbie. Pan Shane wyjeżdżał gdzieś samochodem.

Kiedy zobaczył trójkę młodych ludzi idących w kierunku plaży, pomachał im na powitanie.

Woda była orzeźwiająco chłodna. Lori miała pierwszą okazja; aby zanurzyć się w Pacyfiku. Pływała z werwą, starając się dotrzymać kroku Douglasowi, który był wytrawnym pływakiem. Bawili się w wodzie przez ponad godzinę, aż w końcu przyjemnie zmęczeni wrócili do domu na śniadanie z Shane'ami, którzy już na nich czekali.

Plan dnia był wypełniony, tak jak wczoraj. Zadzwonili na statek, by powiedzieć, że wrócą w środę rano. Shane'owie namówili ich, żeby cały czas przeznaczony na pobyt na wyspie spędzili razem z nimi.

Najpierw przyglądali się, jak inni pływali na surfingach, potem sami spróbowali i bardzo im się to spodobało. Lunch, trzy muzea, wycieczka na plantację

ananasów, krótki lot na wyspę Maui i wyprawa do wygasłego krateru zajęły im cały dzień. Wieczorem zaproszono ich na wspaniałą oficjalną kolację wydaną w domów Shane'ów. Lecz jak mogło się skończyć oficjalnie i poważnie, jeśli zaczęto uczyć gości tańczyć *hula*! Po kolacji szóstka młodych ludzi wybrała się do miasta. Okazało się, że stowarzyszenie studenckie, do którego należał Bob, zorganizowało w „Royal Hawaiian” przyjęcie. Bob uznał, że skoro jest jego członkiem, to jego przyjaciele są również zaproszeni.

Spędzili tam parę miłych godzin poznając nowych ludzi, tańcząc, przyglądając się wspaniałym kreacjom kobiet i białym smokingom mężczyzn.

– Jutro będę musiał wrócić do swoich normalnych zajęć na uczelni, albo mnie wyleją – stwierdził smutno Bob, kiedy szli z powrotem do domu. – Z przyjemnością

wziąłbym cię na ryby, Doug, ale tato twierdzi, że czas wracać do kieratu.

– I tak powinieneś uczynić, mój przyjacielu. Wydawało mi się, że opuściłeś dziś wykłady.

– We wtorek mam tylko dwie godziny, ale jutro w zasadzie nie ruszam się z uniwersytetu przez cały dzień.

Bob wydawał się zaprzątnięty swoimi myślami i Lori z ulgą stwierdziła, że zapomniał już zupełnie o tym, co jej wczoraj mówił.

– Jestem wykończona – powiedziała do Janet. kiedy położyły się już do łóżek. – To był ciężki dzień.

– Masz rację. Nie ma nic bardziej męczącego niż zwiedzanie. Z przyjemnością wrócę jutro na „Lunę”, choć wcale do tego nie tęskniłam. Ellen i Barbara, zwolniły się z zajęć, ale i one muszą wracać na pensję. – Lori wiedziała, że siostry chodzą do prywatnej szkoły. Nie

ma to, jak urodzić się w bogatej rodzinie. Choć z drugiej strony nie doświadczyły one radości dzielenia się rzeczami, kiedy nie było zbyt wiele do podziału.

Zapadając w sen, myślała o swoich rodzicach, bracie i siostrze, rodzinnym domu w Michigan. Przypuszczała, że spodobałby im się Douglas Tinsley. Tak ciężko pracował na to, co teraz ma, a pieniądze nie przesłoniły mu wcale świata.

Po nie kończących się pożegnaniach z ulgą powrócili na „Lunę”. Statek wydał im się rodzinnym domem, pomimo że nie dorównywał luksusem posiadłości Shane'ów. Lori spędziła prawie godzinę na pisaniu kartek, które kupiła w porcie. Chciała wysłać je do wszystkich koleżanek ze swojego działu i jedną do rodziny. Po chwili zastanowienia napisała kartkę do swojego szefa. Widział on już spory kawałek świata, może więc zdjęcie „Royal Hawaiian” nasunie mu jakieś miłe

wspomnienia. Następnie poszła wysłać kartki, a przy okazji kupiła znaczki i ilustrowane czasopismo, by mieć coś do czytania.

Kiedy wróciła do siebie, zauważyła, że jest zbyt podekscytowana, żeby po prostu położyć się na koi i odpoczywać. Myślała wspaniałych chwilach spędzonych z Tinsleyami i Shane'ami. Jak mogła im wyrazić swoją wdzięczność za gościnę? Mogłaby na przykład wysłać im jakiś prezent na Boże Narodzenie.

Kiedy zasypiała wycieńczona przeżyciami ostatnich dni, miała przed oczami pokryte śniegiem wzgórze i doliny. We śnie widziała, jak orchideom udało się jakoś skrzyżować z poinsecjami i rozkwitnąć w miejscu, gdzie zwykle chodziła wycinać choinkę na święta.

Młodym mężczyzną ciągnącym sanki okazał się niespodziewanie nie jej brat, ale Douglas Tinsley.

Gdy się obudziła, uśmiechnęła się, mając wciąż w pamięci obrazy ze snu. Już drugi raz zdarzyło jej się myśleć poważnie o Douglasie. Potrząsnęła głową, przetarła oczy i usiadła. Był najwyższy czas, żeby wziąć prysznic i przygotować się do kolacji. Za godzinę wypływają. Z przyjemnością pójdzie na pokład, żeby rzucić okiem na zatokę i miasto, z którym odtąd będzie wiązało ją tyle przyjemnych wspomnień.

„Wszystkie obietnice zawarte w broszurce opisującej rejs spełniają się”, pomyślała Lori wstając z pościeli. Wyspa, którą odwiedzili, rzeczywiście otwarła przed nimi „inny, dziwny świat, egzotyczne dźwięki i możliwość poznania intrygujących ludzi”.

Dzień za dniem, dwudziestotysięcznotonowy luksusowy liniowiec pruł błękitne wody oceanu. Hawaje stały się już tylko wspomnieniem,

robiło się coraz goręcej. Pasażerowie częściej korzystali z klimatyzowanej kawiarni czy kąpieli w basenach. Zawiązywały się nowe przyjaźnie, Lori czuła się, jakby znała Tinsleyów od wieków. Zawsze jadali przy jednym stoliku. Inni pasażerowie czasami zmieniali miejsca, gdyż dbający o gości kierownik sali nalegał, żeby starali się poznać coraz to nowych ludzi.

Parę dni po pobycie na Hawajach, Lori i Tinsleyowie zainteresowali się celem kolejnego przystanku. Była to romantyczna wyspa Pitcairn, rozśławiona książką Nordhoff-Halla „Bunt na Bounty”. Później mieli popłynąć na Tahiti. Ta nazwa wydała im się najbardziej znajoma. Znajdowali się na bardzo uczęszczanym szlaku. Co jakiś czas na horyzoncie pojawiały się szkunery przewożące kopre, pływające od wyspy do wyspy.

Dotarli do Pitcairn i rzucili kotwicę z

Zatoce Angielskiej. Lagunę długości dziewięciu mil otaczał koralowy atol. Wyspa porośnięta była palmami, jej brzegi często spowijała mgła. Mieszkańcy ubrani w jaskrawoczerwone sarongi zebrali się licznie, obserwując pasażerów. „Luna” została tam tylko przez jeden dzień, mimo że powietrze było ciepłe i wilgotne, a większość uczestników wycieczki została oczarowana pięknem wyspy i spokojnym życiem, jakie wiodli tubylcy. Lori i Tinsleyowie ze smutkiem zaobserwowali wkraczającą wszędzie nowoczesność.

– Rezygnują z prymitywnych metod upraw – powiedział Douglas. Wraz z zanikiem handlu kopra zamiera też życie na wyspie. W ciągu paru lat wiele atoli zostało opuszczonych, domy stoją wymarłe, a tubylcy zajęli się bardziej dochodowymi interesami.

– W okolicy znajduje się całe mrowie małych wysepek – poinformował ich

kapitan Stark. – Niektóre odwiedzają statki takie jak „Luna”, część znają tylko tutejsi mieszkańcy, a reszta pozostaje we władaniu egzotycznych ptaków i stworzeń. Naukowcy znajdujący się na pokładzie mają pełne ręce roboty podczas każdego, choćby tylko kilkugodzinnego postoju.

Jedli przy kapitańskim stole, Lori została posadzona tuż obok kapitana, ogorzałego mężczyzny około pięćdziesiątki, bardzo miłego w obejściu. Z zadziwiającą cierpliwością odpowiadał na liczne pytania pasażerów i robił wszystko, by uprzyjemnić im podróż. Obecnie zabawiał towarzystwo zasłyszanyymi kiedyś historyjkami, a że umiał opowiadać interesująco, wszyscy słuchali go z uwagą.

Tahiti, Fangatu, duża wyspa Hoa i atole Tua Motu pozostały daleko za nimi. Mijali wiele maleńkich wysepek będących właściwie fragmentami koralowej rafy.

Każdego ranka Lori zapisywała w pamiętniku wydarzenia poprzedniego dnia dołączając czasami streszczenia zasłyszanych opowieści na temat mieszkańców wysp i ich odkrywców. Oprawiona w brązową skórę książeczka stała się dla niej czymś bardzo ważnym. Lori czuła, że niejednokrotnie będzie wracała do zawartych w niej zapisków. Wiedziała, że Douglas również prowadził swój dziennik. Pochwalała ten pomysł, mimo że Janet często się z nich śmiała.

Pewnego dnia tańczyli w okrętowej sali balowej, gdy nagle spokój przerwało jakieś zamieszanie i okrzyki. Na pokładzie padły jeden po drugim dwa strzały.

– Co tam się dzieje? – zawołał zaniepokojony Douglas.

Lori roześmiała się wesoło.

– Mała niespodzianka na koniec wieczoru.

Drzwi otwały się z rozmachem,

pojawiło w nich się dwóch mężczyzn ubranych w białe płócienne garnitury. Obaj trzymali w rękach pistolety maszynowe.

Jakiś młody człowiek stojący w pobliżu uśmiechnął się do Lori.

– Nadaliby się do filmu gangsterskiego, prawda? Powiedziałbym, że wyglądają zupełnie autentycznie – stwierdził błędnie jednak nieco.

– Panie i panowie – dobiegły ich płynące z głośników słowa. – Proszę o zachowanie spokoju. Przed chwilą kapitan Stark został pozbawiony dowództwa nad statkiem. Nastąpiło przejście władzy i obecnie zmieniamy kurs zgodnie z nowymi rozkazami. Jeżeli będą państwo dokładnie wykonywać polecenia, nikomu nie stanie się krzywda.

Zaległa przeraźliwa cisza, przzerwana nagle czyimś niepowstrzymanym śmiechem.

– Jeżeli to ma być żart, to nie jest on specjalnie śmieszny – wargi Lori drżały, gdy mówiła te słowa.

– Janet? – krzyknął Douglas. – Gdzie jesteś?

Przytulił mocniej Lori.

– Obawiam się, że to nie jest żart.

W tej chwili usłyszeli ponownie głęboki głos z silnym, obcym akcentem.

– Powtarzamy: Szanowni państwo, proszę zachować spokój i pozostać na miejscach, nawet jeżeli nie są państwo w swoich kajutach. Później dostaniecie pozwolenie, aby się do nich udać. Proszę nie próbować robić nic, czego państwu nie kazano.

– Więc to nie jest żart? – spytała Lori.

Doug, o co tu chodzi? – Janet udało się do nich podejść.

Szorstkie komendy stojących w przejściu uzbrojonych mężczyzn zatrzymały wszystkich na miejscu.

– Nie ruszać się! Albo użyjemy broni.

Zapadła cisza. Po chwili znowu odezwał się głos:

– Tu mówi wasz nowy kapitan. Statek został opanowany siłą. Nie usiłujcie stawiać oporu, przygotujcie się do poddania. Dwóch członków załogi nie żyje. Teraz przemówi wasz były kapitan.

Na dźwięk pierwszych słów kapitana Starka wśród pasażerów przebiegł szmer.

– Proszę zachowywać się tak, jak powiedział kapitan Montez. Zapewnił mnie, że jeżeli będą państwo posłuszni, nikomu nic się nie stanie. Nie wiem, dokąd płyniemy obecnie, ale mamy pozostać na morzu przez jakieś pięć do siedmiu dni. Jutro w głównej jadalni spotkam się z wszystkimi pasażerami. Dobranoc państwu, proszę się udać na spoczynek i postarać się nie martwić.

W końcu nadszedł rozkaz, by wszyscy pasażerowie udali się do swoich kajut. Lori

i Janet zdecydowały się szybko, by pójść do kajuty Janet. Sąsiadowały w ten sposób z Douglasem i w razie potrzeby mogły się z nim porozumiewać przez ścianę.

Bez słowa zostały zaprowadzone do kajuty. Kiedy znalazły się same, długo nie mogły dojść do siebie.

– To po prostu nie może być prawda! Nie w dwudziestym wieku! Piraci! I dlaczego właśnie my zostaliśmy porwani? Przecież na pokładzie nie ma takiej ilości pieniędzy, która mogłaby zachęcić ich do podjęcia ryzyka.

Rozdział 3

Ci z pasażerów, którzy wcześniej udali się na spoczynek, nie mieli pojęcia o opanowaniu „Luny” przez piratów. Jak co dnia pojawili się rano w jadalni. O dziewiątej, kiedy pomieszczenie zapełniło się, pojawił się kapitan Stark i spokojnym głosem przekazał zebranym mniej więcej te same informacje, jakie niektórzy usłyszeli poprzedniej nocy.

Większość ludzi, którzy właśnie dowiedzieli się o zaistniałej sytuacji, było wstrząśniętych. Prócz turystów, na pokładzie znajdowało się wielu biznesmenów i starszych pasażerów, którzy zostawili interesy na wyspach, aby spędzić ostatnie lata życia w Europie, czy Ameryce, a ich stan zdrowia nie był najlepszy.

– Mamy na statku cały zespół

przeszkolony w udzielaniu pomocy. Mamy lekarzy, pielęgniarki i sanitariuszy. Jeżeli uda nam się wszystkim zachować spokój i będziemy słuchać rozkazów, na pewno unikniemy nieprzyjemności. – Postawa kapitana bardzo pomogła w zachowaniu spokoju, o jaki apelował, i ukoїła wystraszone kobiety.

Dwie bardzo młode dziewczyny chichotały nerwowo i rozbawione wymieniały między sobą uwagi. Większość pasażerów nie mogła uwierzyć w to, co się działo na ich oczach, kiedy zauważyli stojących na pokładzie uzbrojonych strażników. Lori i Janet starały się trzymać blisko Douglasa. Podczas lunchu zaczęły krążyć pogłoski, że trzech członków załogi zostało rannych poprzedniego wieczoru w trakcie próby odparcia niespodziewanego ataku. Ponoć pierwszy oficer i jeden z nawigatorów zmarli w wyniku odniesionych obrażeń.

– Niedawno urodziło mu się dziecko – wyszeptała Janet. – Pokazywał mi zdjęcie swojej pięknej żony. Miał nie więcej niż trzydzieści lat!

Dziewczęta spojrzały na siebie wstrząśnięte. Zapowiadający się jako pasmo fantastycznych przygód rejs zmienił się nagle w koszmar. Ale to przecież nie mogło długo trwać.

Po lunchu czas dłużył się w nieskończoność. Każde zgromadzenie większe niż sześć osób było natychmiast rozpędzane. Piraci nie życzyli sobie, by pasażerowie dyskutowali na temat ostatnich wydarzeń.

Załoga statku na nowo podjęła służbę i zachowywała się tak, jakby się w ogóle nic nie stało. Można by nawet powiedzieć, że *rzeczywiście* nic się nie wydarzyło, gdyby nie panująca na statku cisza, zniżone głosy i widok starających ukryć swoją obecność obcych, silnie zbudowanych mężczyzn.

Przez całe popołudnie Lori miała uczucie, że są obserwowani przez tych uzbrojonych w potężne pistolety maszynowe strażników. Około trzeciej zeszła z Janet do jej kajuty, żeby trochę odpocząć.

– Spytałam niewinnie, czy mogłabym wysłać wiadomość rodzicom – powiedziała Janet. – Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie słodczy w głosie tego pirata, kiedy mi odmawiał.

– Kiedy ci się to udało zrobić?! – Lori nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Gdy przechodziłam koło szalup, udało mi się zakraść do pomieszczenia radionawigatora. Oczywiście, gdyby Douglas się o tym dowiedział, wpadłby w szal.

– Przyrzeknij mi, że nigdy nie zrobisz czegoś podobnego. Ci faceci znają swój fach. Nie drgnie im powieka, kiedy będą do ciebie strzelać.

– Wiem o tym. Sama byłam przerażona,

kiedy ujrzałam, jak zaciska palec wokół spustu. Obiecuj mi, że nie piśniesz mojemu bratu na ten temat ani słowa.

Nagle w oczach Janet pojawiły się łzy.

– Co się z nami stanie, Lori? – wyszeptała. Tak bardzo chciałabym być... To znaczy chciałabym, żebyśmy wszyscy byli już w domu!

– Nie martw się. Trzeba pamiętać, że mamy koniec dwudziestego wieku. W dzisiejszych czasach żadna grupa ludzi, niezależnie od tego, jak są przebiegli, nie może bezkarnie terroryzować prawie siedmiuset osób na takim liniowcu...

– Ale południowy Pacyfik to olbrzymia przestrzeń. Sam nie wiem, jak długo możemy pływać po jakichś nieuczęszczanych trasach – poważne słowa Douglasa wciąż brzęczały w uszach Lori. Nie zdawał sobie sprawy wtedy przy basenie, że Lori doskonale go słyszy. Stał nieco z boku rozmawiając z doktorem

Gardnerem.

– Kończą nam się zapasy – powiedział lekarz. – Morale jest wyjątkowo niskie. A będzie pogarszało się z godziny na godzinę.

– Jedyne co nam zostało, to trzymać się ustalonego porządku dnia.

– Na pokładzie nie mamy nikogo, kto byłby w stanie zorganizować jakikolwiek opór.

– Musimy wypracować jakiś plan. Może uda się nam spotkać w kilka osób podczas kolacji, zaprosić do towarzystwa ładne dziewczyny i naradzić się. udając, że nie robimy nic poważnego.

– Świetnie! Porozmawiam z sędzią Moore'em i paroma starszymi, bardziej doświadczonymi pasażerami...

W końcu Lori udało się uspokoić Janet.

– Nie możesz się w ten sposób zachowywać. Samopoczucie starszych ludzi zależy od tego jak my, młodzi,

poradzimy sobie w tej sytuacji.

– Postaram się. Nawet jeżeli będziemy musieli obyć się przez jakiś czas bez tych wszystkich wygód, jakie nam do tej pory zapewniano.

O piątej do drzwi ich kajuty zapukał Douglas i spytał, czy nie miałyby ochoty pójść na koktajl do kawiarni.

– Będziemy gotowe za kilka minut.

– Muszę iść do siebie po jakieś ubrania
– stwierdziła Lori.

– Chodź, odprowadzę cię – zaproponował Doug. – Trochę się uspokoiło. Ich przywódca zrozumiał, że nieco przeholował i dał nam teraz więcej swobody.

– Wolałbym gdybyście trzymały się razem – powiedział Lori po drodze do jej kajuty. – Macie tyle miejsca, że nie będziecie się gniesć. Zdaję sobie sprawę, że pewnie wolałabyś mieszkać sama, ale tak będzie znacznie bezpieczniej.

– Masz rację. Doceniam twoją troskliwość. – Lori otworzyła drzwi kabiny. Żadna z rzeczy nie została nawet tknięta, choć mówiło się, że piraci szukają broni.

– Najprawdopodobniej jutro wszystkie kajuty zostaną przeszukane – powiedział Doug ścisząc głos. – Jeżeli masz jakieś wartościowe rzeczy, może postaraj się je schować. Kapitan Montez twierdzi, że biżuteria i pieniądze nie zostaną zabrane, ale jego ludzie mogą być zbyt zachłanni, żeby o tym pamiętać.

– Nie mam nic wartościowego – uśmiechnęła się. – Żadnych kosztowności ani gotówki. Jestem zwyczajną sekretarką.

– Weź jakieś ubrania, poczekam na ciebie na zewnątrz.

Lori szybko zapakowała najniezbędniejsze rzeczy i już po kilku minutach znaleźli się z powrotem w kabinie Janet.

– Wstąpię po was za jakieś pół godziny

– powiedział Douglas. Załóżcie najładniejsze sukienki, jakie macie. Pamiętajcie, musimy pokazać tym facetom, że się ich nie boimy.

Dziewczęta zrobiły wszystko, by prezentować się jak najlepiej. Lori ubrała bieloną szyfonową sukienkę, rozczesała włosy i zakręciła loki zalotnie okalające jej śliczną twarzyczkę.

Janet zdecydowała się na delikatny różowy kostium, wyglądała w nim jak anioł.

– Cóż za niewinność – zaśmiała się Lori.
– Pamiętaj, że nie wolno ci flirtować z tym ich oficerem.

– Nie martw się. Mam nadzieję, że już nigdy go nie spotkam.

Zjawił się Doug i ruszyli do barku, w którym zbierały się małe grupki. Lori pomyślała, że jest tu dziś więcej ludzi niż zwykle.

Czy to dlatego, że muszą się pokrzepić

czymś mocniejszym, czy też chcą pokazać Montezowi, że nie robi na nich wielkiego wrażenia? – spytała Douglasa.

– Pewnie i jedno i drugie. Spójrz! To chyba Montez we własnej osobie!

Mężczyzna ubrany w biały mundur był średniego wzrostu, szczupły i dość przystojny. Miał ciemną karnację, błyszczące czarne oczy i włosy. Krótko obcięty czarny wąs nadawał mu wygląd człowieka nie lękającego się niebezpieczeństw.

– No dobrze, laleczki – Doug zwrócił się do dziewcząt. – Udawajmy, że jesteśmy na szampańskiej imprezie i zachowujmy się tak, jak ludziom wydaje się, że zachowują się Amerykanie.

Pijmy, jedzmy i weselmy się, co? – zaśmiała się nerwowo Janet. Rozmowy w barze stały się głośniejsze niż zazwyczaj, orkiestra zaczęła grać frywolne melodie, nawet solistka zachowywała się bardziej

wyzywająco niż wypadało.

Montez siedział przy stoliku znajdującym się jakieś dwa metry od miejsca, które zajmowała grupka przyjaciół. Piękna piosenkarka zeszła ze sceny, zaczęła iść w kierunku Monteza śpiewając przy tym, uśmiechając się uwodzicielsko do mężczyzn i kołysząc od czasu do czasu biodrami.

– Ale ma dziewczyna odwagę – odezwał się stary sędzia.

– Przecież ona podchodzi do jego stolika! – jęknęła Janet.

– Bez wątpienia!

Yvonne przystanąła i pochyliła się nad Montezem. Wyciągnęła wpiętą w dekolt różę i przejechała nią po policzku pirackiego kapitana. Uwodzicielskim szeptem zaśpiewała parę linijek piosenki i włożyła mu kwiat do kieszeni munduru. Kiedy schodziła ze sceny, przy stoliku piratów rozległ się pomruk aprobaty, lecz

teraz wszyscy byli bardzo spięci, Montez udawał, że jest pochłonięty jedzeniem.

– Jeśli ja byłabym piosenkarką, nie moglibyście ode mnie żądać czegoś podobnego – wyszeptała Janet.

Wonne wróciła na podwyższenie, w barku wzmógł się gwar rozmów. Dziewczęta plotły coś i śmiały się od czasu do czasu, a mężczyźni starali się wymyślić, co należałoby zrobić w zaistniałej sytuacji, by pasażerom i załodze „Luny” nie stało się nic złego.

Doktor Gardner poinformował zebranych, że służba medyczna statku jest bardzo zaniepokojona. Jeżeli nie wprowadzi się ścisłego nadzoru, wkrótce może im grozić wybuch epidemii. Zapasy wody były na wyczerpaniu. Kończyła się również żywność.

– Kto wie, jak długo będziemy tak płynąć bez zawijania do portu. Po tym Montezie nie możemy się spodziewać

niczego dobrego. Sprawia na mnie wrażenie wariata.

– Może jego plany zostaną już wkrótce pokrzyżowane. Niedługo miną dwadzieścia cztery godziny, odkąd zerwano łączność ze światem.

Do Lori docierały strzępki rozmów, choć starała się ich nie słyszeć i zachowywać się wesoło, jakby to było najzwyczajniejsze przyjęcie.

Czas mijał powoli. Jedzenie było jak zwykle wyborne i dobrze podane, choć kelnerzy nie potrafili powstrzymać drżenia rąk. Po kolacji na stoliku Janet pojawiła się butelka szampana.

– „Wyrazy szacunku od Pabla Funato, pani wielbiciela” – przeczytała dołączoną karteczkę.

Spoglądając w kierunku stolika piratów Janet dostrzegła podnoszącego się wysokiego chudego mężczyznę. Ukłonił się jej nisko.

Janet zaczerwieniła się, a następnie zbladła.

– Co się stało, Jan? – spytał Douglas.

– Nic... naprawdę nic takiego. Po prostu przysłał mi butelkę szampana.

– Czyżbyś z nim flirtowała, ty zepsuta istoto?

– Janet jest tak urocza, że nie potrzebuje flirtować, aby zwrócić na siebie uwagę mężczyzny – powiedział doktor Gardner.

Janet była bardzo speszona ich słowami, ze zmieszaniem wpatrywała się w podłogę. W eh viii. – później na stół dostarczono następną butelkę szampana, tym razem dla Lori. Dołączona była do niej karteczka napisana przez kolejnego oficera z grupy Monteza. Skłonił się on nisko w kierunku stolika, przy którym siedziały dziewczęta.

– Co tam jest napisane? – dopytywał się Douglas.

– „Czy mogę panią prosić o następny taniec?” – czytała drżącymi ustami Lori.

– *Senorita?* – posłaniec stał przy stoliku czekając na odpowiedź.

– Co mam zrobić? – zaniepokojona Lori spytała towarzyszących jej mężczyzn. – Będę udawać, że źle się czuję. Nie mam ochoty z nim tańczyć – wyszeptała.

– Może to wystarczy – zgodził się doktor.

– Czy powinnam w takim wypadku odesłać im szampana?

– Nie. Mogliby uznać to za obrazę, nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko – zauważył sędzia Moore. – Odwagi, młoda damo.

Lori napisała na karteczce odpowiedź:

„Dziękuję za zaproszenie. Boli mnie głowa i nie jestem niestety w stanie tańczyć dziś wieczór. ”

Po chwili zastanowienia skreśliła słowa „dziś wieczór”, tak aby nie dało się ich odczytać. W przeciwnym wypadku osiągnęłaby tylko chwilowe odroczenie.

Kilka minut później dotarła do niej kolejna notatka. Tym razem było na niej tylko parę słów:

„Jutro wieczór, szanowna pani. ”

Lori obejrzała się przerażona, ale posłaniec już zniknął. To nie była prośba lecz rozkaz.

– . Co za bezczelny typ! – uniósł się Douglas, gdy Lori zapoznała go z treścią notatki.

– Mam tylko jedno wyjście. Po prostu nie będę jutro jadła kolacji. Mój ból głowy stanie się jeszcze bardziej dokuczliwy.

– Nie pochwalam tego – zauważył doktor Gardner. – Być może powinienem porozmawiać z kapitanem i powiedzieć mu, że pasażerowie nie życzą sobie takiego spoufalania.

– To dosyć śmiały pomysł, ale podoba mi się. Pójdę z panem – zaoferował się sędzia Moore.

Pasażerowie, którzy widzieli wymianę

liścików i podarunek w postaci szampana, wykazywali duże zainteresowanie.

– Co tu się dzieje? – spytał jeden z nich.

Nowina szybko obiegła całą jadalnię. Dwóm oficerom Monteza spodobały się dziewczyny siedzące przy stoliku sędziego.

– Mam nadzieję, że kapitan wykaże zrozumienie dla tej delikatnej sytuacji – powiedział Douglas, gdy całe towarzystwo zaczęło się już zbierać do wyjścia. – Jeżeli nie, będziemy się musieli zastanowić nad innymi metodami. – Uspokajająco dotknął ręki Lori. – Trzymaj się blisko mnie. Gardner odprowadzi moją siostrę.

Wieczór, zamiast na tańcach, spędzili przy grze w karty. Około dziesiątej sędzia i doktor poszli do kajuty kapitana. Uprzedzili wcześniej pisemnie o swojej wizycie i otrzymali zaproszenie na określoną godzinę.

Kapitan Stark, blady i zmęczony z

powodu nieprzespanej nocy, powitał ich serdecznie.

Mężczyźni usiedli i przedstawili mu swoją prośbę.

– Chcielibyśmy, aby wezwał pan tutaj przywódcę napastników. Jak do tej pory nikomu nie stała się krzywda, ale sytuacja może się łatwo wymknąć spod kontroli i lepiej byłoby zapobiec takiej ewentualności.

– Sądzę, że mają panowie rację. Mogę od razu poprosić kapitana Monteza o spotkanie. Jak dotąd wykazywał duże zrozumienie i troskę o dobro pasażerów. Zobaczymy, po czyjej stronie, jeśli dojdzie do, powiedzmy, romansu.

W kilka chwil później Montez pojawił się osobiście. Ukłonił się trójce mężczyzn, usiadł i spojrzał na nich wyczekująco.

Kapitan Stark odchrząknął.

– Jak pan sobie zapewne przypomina, dwie młode damy zostały dziś obdarowane

winem. Do jednej z butelek dołączono zaproszenie do tańca.

Montez uśmiechnął się nieznacznie. Końce jego wąsików uniosły się nieco.

– To przecież coś zupełnie normalnego. Młodzi mężczyźni starają się o względy młodych kobiet.

– Oczywiście – przyznał Gardner, usiłując zapanować nad tonem głosu. – Lecz kiedy odmówiono temu zaproszeniu, następne słowa zabrzmiały jak rozkaz. W Ameryce nie ma zwyczaju, aby mężczyzna rozkazywał kobiecie, kiedy ta delikatnie, ale stanowczo, mu odmówiła.

– Czyżby była zaręczona?

– Ujmijmy to tak, jest na statku mężczyzna, który towarzyszy tej młodej damie.

– Wasz kraj zawsze starał się narzucić naszemu, jak powinno się zachowywać w każdej sytuacji. Nawet kiedy chodzi o sprawy serca. – Montez wstał. – Proszę

przekazać tym dwóm młodym osobkom, że nie będą nigdy więcej napastowane.

Obrócił się i wyszedł z kajuty.

– Mogło się to skończyć o wiele poważniej – powiedział kapitan Stark wycierając ciemną chusteczką. – Jak panowie widzą, nawet piraci potrafią się czasami odpowiednio zachować. Proszę przekazać tym młodym damom moje przeprosiny i pozdrowienia. Wierzę, że taka sytuacja już nigdy się nie powtórzy. Wiem, doktorze, że zostało nam parę spraw do omówienia. Muszę jednak porozmawiać z szefem kuchni. Spotkajmy się więc jeszcze dziś wieczorem.

– Dziękujemy za pomoc, kapitanie – powiedział Gardner ściskając dłoń Starka.

Dwaj mężczyźni wrócili do barku, gdzie czekały już na nich Lori i Janet.

– Wszystko w porządku – oznajmił doktor, po czym opowiedział, co wydarzyło się w kajucie kapitana. –

Wątpię, byśmy mieli jeszcze jakieś kłopoty – dodał na koniec.

– Dlaczego uczepili się akurat was? – zastanawiał się sędzia. – Wiem, że jesteście wyjątkowo smakowitymi kąskami, ale przecież przez cały wieczór byliście pod naszą ochroną.

– Kiedy panowie rozmawiali z kapitanem, siostra przyznała mi się, że ona sama zagadnęła jednego z nich – oznajmił Douglas. – Chciała nadać radiotelegram do naszych rodziców. Dlatego właśnie ten oficer przysłał jej szampana.

– Czy sądzi pan, że to zostało zaplanowane?

– Nie – Doug potrząsnął głową. – Z pewnością działał instynktownie, choć wydaje mi się, że Montezowi doniesiono o incydencie w pokoju radiooperatora.

– Postąpiła pani bardzo nierozsądnie, panno Tinsley – stwierdził Gardner. – Ryzyko było zbyt duże.

– Proszę mi wierzyć, sama nie wiem, skąd u mnie tyle brawury. Jestem wyjątkowym tchórzem.

– Dlatego też odtąd mianuję się na szefa pani obstawy. I zrobię wszystko, żeby tych dwóch zbirów szybko to sobie uświadomiło.

– Jeszcze nie jest tak późno – powiedział Douglas. – Czy miałybyś ochotę ze mną zatańczyć, Lori?

Gardner poprosił Janet do tańca i obie pary zeszły do sali tanecznej. Z ulgą przyjęli obecność tylko dwóch strażników pilnujących pasażerów. Muzyka, przygaszone światła i eleganckie kreacje kobiet sprawiły, że Lori poczuła się, jakby nagle wszystko wróciło do normy. Orkiestra grała stare standardy. Rozbrzmiały dźwięki „Lady Be Good!”. Douglas pochylił się nad Lori.

– Oto pani piosenka, panno Mason.

– Czyżbyśmy stawali się formalistami,

sir?

– Och, Lori, nie znasz się na żartach? Jesteś w stanie doprowadzić mężczyznę do szaleństwa. Bardzo współczułem temu facetowi, którego odprawiłaś. Jak on się nazywał?

– Zupełnie o tym zapomniałam. Zapomniałam o całym incydencie.

Przyciągnął ją do siebie.

– Zapomniałaś? A inni mężczyźni? Czy byli jacyś w twoim życiu? Czy mam prawo być tak natarczywy i zadać ci to pytanie?

Zaśmiała się i uniosła lekko rękę.

– Posłuchaj, Doug. Nie było żadnych pierścionków z brylantem, jeżeli o to ci chodzi.

– Dobrze i tyle. Jak się bawisz?

– Wspaniale. Prawie zapomniałam, w jakiej znaleźliśmy się sytuacji. Ale wróćmy do naszej rozmowy. A ty, co z dziewczynami w *twoim* życiu? Nigdy o żadnej nie wspominałeś.

– Więc może się przyznam do wszystkiego, zanim ty i Janet nie będziecie miały co robić i z nudów zaczniecie grzebać mi w życiorysie. Tak więc kolejno: kochałem się w nauczycielce w pierwszej klasie, potem miłość do dziewczyny z kursu tańca, potem, to jest, kiedy miałem dwanaście lat, zakochałem się śmiertelnie w córce sąsiadów. Wiesz, normalna historia.

– Normalne historie nic mnie nie obchodzą. Liczą się tylko te niezwykłe. A jak było w college'u?

– Noo, to są opowieści na lata! – zaśmiał się. – A mówiąc całkiem poważnie, miałem zbyt dużo zajęć, żeby często chodzić na randki. Rzeczywiście była jedna dziewczyna, ale w tej chwili to już mroczna przeszłość. Porozmawiajmy może o czymś innym, dobrze? – zaproponował. Zatrzymał się tuż przy orkiestrze. – Może zamówimy sobie jakąś

melodie?

Rozdział 4

Statek płynął nowym kursem, którego nie znał nikt oprócz piratów. Pasażerowie, obawiając się o swoje bezpieczeństwo, posłusznie wypełniali wszystkie rozkazy, próbując nie upadać na duchu. Wydawało się, że życie na pokładzie toczy się normalnym trybem. Było już wiadomo, że napastnicy dostali się na pokład na jednej z wysp jako pasażerowie trzeciej klasy. Stało się to pięć dni temu. Najwyraźniej podróż ta sprawiała im dużą przyjemność, bawili się dobrze, nie starali się jednak nachalnie zawierać znajomości, trzymając się raczej z dala od reszty pasażerów.

Zmierzali na południe. Trzy dni później ogromny statek wycieczkowy, nie uwzględniony w żadnych rozkładach ruchu, zauważyło dwóch członków załogi obsługującej latarnię morską na jednej z

wysepek. W ciągu najbliższego miesiąca na tych wodach nie miała się pojawić żadna większa jednostka. Uważnie obserwowali statek, który po wpłynięciu jakiejś mili w głąb zatoki opuścił szalupę ratunkową. Znajdował się w niej trzeci z rannych marynarzy, wymagający natychmiastowej hospitalizacji. Kapitan Montez nie był więc pozbawiony humanitarnych odruchów. Kilka godzin później cały cywilizowany świat dowiedział się, że luksusowy statek wycieczkowy „Luna” został opanowany przez piratów.

Czwartego dnia, zanim marynarka któregośkolwiek z państw zdążyła ich zlokalizować, „Luna” po prostu zniknęła. Stany Zjednoczone użyły do poszukiwań samolotów, Anglia wysłała fregatę, Portugalia postawiła swoje okręty w stan gotowości. Niszczyciele „Wilson” i „Damato” otrzymały rozkaz udaremnienia

porwania, które na podstawie międzynarodowych praw uznane zostało za akt piractwa. Wszystkie statki handlowe pływające po południowym Pacyfiku również włączyły się do poszukiwań.

W tym czasie „Luna” bardzo często zmieniała kurs, co oczywiście przyczyniło się do wzrostu napięcia wśród pasażerów. Nikt nie wiedział dokładnie, która jest godzina, ponieważ nie informowano ich o zmianach stref czasowych. Życie na statku i program rozrywek nie uległy jednak zasadniczym zmianom. Posiłki stały się może odrobinę skromniejsze, ale początkowo mało kto zwrócił na to uwagę.

– Doug, jak duże zapasy żywności mogą się pomieścić na takim statku? Kiedyś w końcu musi jej przecież zabraknąć – zauważyła Janet.

– Nie martw się o to – odparł Douglas. – I sama nie zaczynaj robić zapasów. Ciągle jeszcze mamy kilka pudełek słodczy i z

pewnością znajdzie się na pokładzie jeszcze trochę puszek, mąki, a może nawet jakichś przysmaków.

Nie dodał, że zaczyna się martwić o zapasy świeżej wody do picia. Pasażerowie wciąż grali w ping-ponga, czytali, tańczyli, chodzili na wieczorne seanse filmowe i pod okiem strażników zażywali przechadzek po pokładzie.

Piątego dnia urodziło się dziecko. Pasażerowie po usłyszeniu radosnej nowiny zrobili podczas kolacji składkę na jego pierwszy rok studiów w college'u. Dodało im to otuchy i pozwoliło z nadzieją spojrzeć w przyszłość.

Mniej zadowoleni byli pasażerowie trzeciej klasy, którzy skarżyli się, że poświęca im się mało uwagi i że dostają obecnie gorsze posiłki.

Świat dowiedział się również o powodach porwania statku. Piraci mieli nadzieję na wywołanie rewolucji, która nie

pozwoliłaby na zaprzysiężenie nowo wybranego prezydenta niewielkiego środkowoamerykańskiego państwa. Pasażerowie „Luny” mieli być kartą przetargową. Chciano w ten sposób zmusić prezydenta do złożenia rezygnacji i oddania władzy w ręce poprzedniego przywódcy, którego zwolennicy byli pomysłodawcami porwania.

Tymczasem „Luna” wpłynęła do portu jednej z dużych wysp.

A więc teraz zostaniemy w tym opuszczonym miejscu, z dala od uczęszczanych szlaków komunikacyjnych i tras przelotów samolotów. Mogą nas tu trzymać przez wiele tygodni – prorokował jeden z oficerów załogi statku. Czy ktoś ma pojęcie, jaka jest nasza aktualna pozycja? – spytał Douglas.

– Dowiedzenie się tego nie zajmie nam wiele czasu. Oczywiście próbowaliśmy prowadzić zapiski zmian kursów, ale gdy

tylko spuszczaaliśmy ich z oczu, zaczęli tak lawirować, że nasi nawigatorzy kompletnie stracili orientację.

Nastrój wśród załogi zmienił się. Nie byli już przestraszeni, lecz wściekli. Oczywiście pięćdziesięciu napastników było uzależnionych od tego, jak wykonywano ich rozkazy, ale obecnie otwarta wrogość, niepewność i upał działały na ich niekorzyść. Piraci wtrącili trzech marynarzy do aresztu, pozostałym zagrożono poważnymi karami. W tym czasie na statku zawiązało się wiele grup, które starały się znaleźć wyjście z sytuacji.

– Douglas, jakie są szanse, że zostaniemy znalezieni na tym odludziu? – spytała Lori, kiedy wpływali do zatoki, która miała stać się miejscem postoju „Luny”.

– Duże. Nie wolno ci nie doceniać sprawności marynarki wojennej Stanów

Zjednoczonych, nie mówiąc już nawet o flocie Wielkiej Brytanii i innych cywilizowanych krajów. Choć muszę przyznać, że akcja uprowadzenia naszego statku została perfekcyjnie przygotowana. Jest jeszcze jednak parę rzeczy, których nie można przewidzieć – zachowanie pasażerów, ludzkie słabostki.

– Słyszałam plotki, że kończy się nam woda.

– Właśnie dlatego zawinęliśmy tutaj.

Jeszcze zanim statek zarzucił kotwicę, przez głośniki nadeszły nowe rozkazy. Kapitan Montez nakazał, aby wszyscy pozostali w kajutach.

– O tej porze dnia upał na brzegu jest nie do wytrzymania. Po południu, kiedy zejdziecie na ląd, każde z was będzie uważnie obserwowane. Proszę trzymać się razem. Można chodzić grupami najwyżej w dwadzieścia pięć osób. Uprzedzam, że wszelkie próby ucieczki są doprawdy

bezczelowe.

Pokład trzeciej klasy zaczęła ogarniać histeria. Zmniejszone racje żywności i zepsuta klimatyzacja robiły swoje. Większość pasażerów stanowili Włosi i Grecy, którzy fatalnie znosili życie pod kontrolą.

– Czy chciałybyście zejść na brzeg i zwiedzić okolicę? – spytał Douglas dziewczęta.

– Jak powiedział kapitan, jest tam prawdopodobnie wyjątkowo nudno. Wszędzie dokoła widać tylko gnijące kłody drzew, a dalej ciągnie się dżungla – zadrżała Janet.

– A ja chętnie wybiorę się na brzeg, jeśli masz ochotę – stwierdziła Lori.

– W takim razie i ja zdobędę się na odwagę. Co mi tam.

Do statku podpłynęła mała łódka, siedzący w niej człowiek wszedł na pokład „Luny”. Kilka minut później kapitan

Montez oznajmił, że okoliczności się zmieniły i do jutra rana nikomu nie wolno opuszczać liniowca.

Pasażerowie wpadli w minorowy nastrój. Postanowili wysłać delegację do kapitana. Wśród oddelegowanych pięciu osób znaleźli się: Douglas Tinsley, doktor z St. Louis, młodzi prawnicy i profesor college'u. który przemawiał w imieniu przybyłych.

– Czym mogę panom służyć? – spytał Montez.

– Przyszliśmy prosić, żeby porzucił pan swoje plany i zabrał nas z powrotem do cywilizacji, skontaktował się z prasą i zapewnił nasze rodziny, że jesteśmy bezpieczni.

– Śmiała prośba. – Montez wolno zapalił cygaro. – Muszę odmówić jej spełnienia, choć z przyjemnością przystanę na inne życzenia.

– Kapitanie, czy zdaje pan sobie sprawę,

że grozi nam wybuch epidemii? Mamy coraz więcej chorych. Sporządziliśmy listę zabiegów dokonanych w ostatnich dniach i lekarstw przepisanych pasażerom. – Doktor wręczył Montezowi zapisaną kartkę. – Fatalna kondycja psychiczna, problemy sercowe, a na pokładzie trzeciej klasy osłabienie spowodowane upałem. Niedługo sam pan odczuje skutki tego stanu rzeczy.

– Przykro mi. – Czoło Monteza lśniło od potu. – Wkrótce powinniśmy naprawić klimatyzację, możemy też liczyć na pitną wodę z wyspy. Oczywiście wiedzą panowie o zachowaniu niektórych pasażerów, którzy celowo odkręcają kurki w kajutach, by pozbawić nas wody. – W jego oczach niespodziewanie pojawiły się iskry. – Zatroszczę się, żeby *moi* ludzie mieli jej pod dostatkiem. Może kapitan Stark powinien ostrzec podróżnych, że ich zachowanie zaszkodzi tylko im samym.

– Jak długo będziemy więzieni w tej zapomnianej przez Boga dziurze? – spytał jeden z prawników.

– Tak długo, jak to będzie konieczne. Nie możemy dopuścić do zaprzysiężenia nowego prezydenta. Od dnia, kiedy ma objąć władzę dzieli nas tydzień. Przeciwnicy znają warunki. Kiedy otrzymam wiadomość, że zrezygnował, pasażerowie zostaną przewiezieni do jednego z portów i wypuszczeni na wolność.

Jesteśmy więc politycznymi zakładnikami – stwierdził Douglas. – Czy moglibyśmy coś zrobić dla dobra pasażerów?

– Oczywiście. Na wyspie jest pełno świeżej żywności i wody. Część młodszych mężczyzn mogłaby, pod określonymi warunkami, udać się na ląd i zorganizować żywność dla pozostałych. Na wyspie rosną palmy kokosowe, drzewa

chlebowe i bananowce. Co powiedzielibyście na propozycję wysłania specjalnych grup na ląd? Czy pasażerowie zgodzą się na to?

– Bardzo możliwe – przytaknął Douglas.

– Proszę więc wyznaczyć liderów takich grup, zaczniemy od jutra.

Po spotkaniu dziewczyny i pozostali pasażerowie zasypali Douglasa pytaniami.

– Nie denerwujcie się. Wszystko zostanie przecież ogłoszone.

– Ale jakie mamy szansę, żeby się stąd wyrwać? – dopytywała się Janet.

– Módlmy się, żeby prezydent-elekt jak najszybciej zrezygnował. W przeciwnym razie czeka nas długie, gorące lato. Choć mimo wszystko, jak długo może trwać poprawne traktowanie siedmiuset zakładników przez coraz bardziej zdenerwowanych piratów?

Morale pasażerów stało się najgorsze od chwili porwania liniowca. Mało kto

wierzył, że statkom i samolotom uda się zlokalizować „Lunę” w tej małej zatoczce.

Statek zakotwiczone wystarczająco daleko od brzegu, by ktokolwiek myślał o skoku do morza i dopłynięciu do mola, choć wszyscy rozmawiali o takiej ewentualności.

– Skakanie do nieznanego akwenu byłoby wielką głupotą. Kto wie, ile tu pływa rekinów. Brzeg może roić się od aligatorów. Powinniśmy pogodzić się z losem i czekać cierpliwie, aż rząd nas stąd wyciągnie. Najrozsądniej zrobimy współpracując z porywaczami – zawyrokował sędzia Moore podczas kolacji.

– Pan sędzia ma absolutną rację. Oprócz upału bylibyśmy narażeni na picie zanieczyszczonej wody. Jutro przecież mamy udać się na brzeg, wtedy zorientujemy się w możliwościach zdobycia wody i jakiegoś jedzenia –

potwierdził doktor Gardner.

Niebezpieczeństwo zbliżało pasażerów. Wokół Tinsleyów, doktora i sędziego Moore'a zgromadziła się grupa dwudziestu młodych ludzi gotowych poświęcić się wspólnemu celowi.

Montez przemówił do zebranej grupy podczas śniadania. Jeszcze raz zapewnił, że bardzo leży mu na sercu dobro pasażerów i poprosił o współpracę. Stwierdził stanowczo, że będą musieli pozostać w zatoce jeszcze przez tydzień, wiele więc zależeć będzie od ich nastawienia. Stwierdził, że wyśle na ląd ludzi, by zdobyli żywność, która może już wkrótce okazać się potrzebna.

Dzień przed wyprawą do wyznaczonej już grupy zgłosili się David Giles i jego żona Paula. Byli naukowcami, którzy na zlecenie rządu podróżowali po różnych krajach badając przydatność napotkanych owoców i warzyw dla potrzeb firm

przetwórstwa żywności.

– Proponuję, żebyśmy szli z Pete'em kilka kroków przed grupą i uważali na wszystko – powiedział Jim Adams, jeden z członków grupy Douglasa.

– Podśluchałem, że tubylcy zostali zaciągnięci do wioski i są tam trzymani pod strażą. Jeżeli jednak udałoby nam się spotkać kogoś mówiącego po angielsku, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej – stwierdził Giles.

Douglas został wybrany liderem jednej z grup mających się udać na brzeg. Przewieziono ich na ląd, gdzie pod strażą rozpoczęli poszukiwania.

– Trzymajcie się blisko mnie albo doktora – ostrzegał Doug uczestników wyprawy. – Musicie być zawsze w zasięgu ich wzroku. I nie próbujcie niczego na własną rękę.

Ludzie szli trójkami po zszarzałym, starym molo. Z tyłu każdej grupy kroczył

strażnik z bronią w ręku. Niech wam się nie wydaje, że strażnicy mówią tylko po portugalsku – ostrzegął doktor. – Możemy spróbować się porozumieć z tubylcami, jeśli tylko będziemy mieć szansę. Choć wątpię, żeby nas do nich dopuszczono.

– Nie jestem tego taki pewien – zaproponował Giles. – Może będą nam pomagać zbierać żywność. Montezowi nie brakuje pieniędzy. Może im zapłacić kilka centów za cały dzień pracy. Albo dać paczkę papierosów.

– Zastanawiam się, czy dobrze zrobiliśmy biorąc ze sobą kobiety powiedział Doug zrównując się z Lori. – Oczywiście możemy zostawić z wami jakiegoś mężczyznę, kiedy się zmęczycie. Albo oddać was do biur kompanii handlujących kopra – uśmiechnął się.

Kie martw się o mnie. Jestem pewna, że Paula i Janet również sobie poradzą. W innych okolicznościach uznałabym nawet

tę wyprawę za wspaniałą przygodę. – Lori odwzajemniła jego uśmiech. Jej zielone oczy lśniły. Miała na sobie jasnozieloną bluzę i nieco ciemniejsze spodnie, a na głowie słomkowy kapelusz, spod którego wymykały się kosmyki kasztanowych włosów. Wyglądała prześlicznie.

Szli w kierunku szarych zabudowań. Nie dochodził do nich żaden dźwięk, ziemia wokoło była spieczona. Wyglądało na to, że ktoś kiedyś usiłował zmusić ją, by dawała plony, ale bez większego efektu. Gdy podeszli bliżej, ujrzeli, że domy obróciły się w ruinę. Osada, która dawno temu musiała być prężnym ośrodkiem handlowym, przestała istnieć.

– Tak jak podejrzewałem! – wykrzyknął Giles. – Opuszczone miejsce, założę się, że statki zawijające do tej przystani w ciągu roku da się policzyć na palcach jednej ręki.

Zostawili za sobą pozostałości budynków i ruszyli w górę zbocza. Wspięli

się na szczyt i ich oczom ukazały się chaty tubylców. Część z nich była zrobiona z liści palmy kokosowej, nowsze zbudowano już z kamieni, niektóre miały nawet werandy. Za chatami dostrzegli kilka ziemnych pieców i opuszczone ogrody.

Ze stojącej po lewej stronie chaty wyskoczył kundel i zaczął ujadać. Trzymał się jednak w bezpiecznej odległości od przybyszów. W oknie następnej ujrzeni czyjaś twarz. Po chwili ukazała się kolejna, i kolejna. Nagle w drzwiach i oknach zabudowań pojawiło się mnóstwo mieszkańców wioski, którzy trwali w milczeniu.

– Boją się – zauważył Douglas. – Może nie nas, ale piratów.

Zatrzymali się. Wokół Douglasa zebrała się jego grupa.

– Pozwolono nam porozmawiać z ich wodzem, jeżeli oczywiście znajdziemy język, w którym uda nam się z nimi

skontaktować.

Jeden z naukowców powiedział coś po portugalsku do pierwszego z brzegu tubylca. Ten nie zareagował. Po chwili odezwał się w jakimś języku, którego nikt z zebranych nie zrozumiał. Spróbowali wszystkich języków, jakie znali, lecz bez rezultatu. W geście rozpaczy David przypomniał sobie słowo, które znaczyło „wódz”. Ciemna twarz tubylca rozpromieniła się.

– To jeden z dialektów polinezyjskiego. Mówi się nim tylko na odległych wyspach południowo-wschodniego Pacyfiku. Wygląda na to, że znaleźliśmy się gdzieś w rejonie Wysp Zapomnianych, Gambiers albo Rapa. Chodźmy za nim, powinien zaprowadzić nas do ich wodza.

Ścieżka została wyłożona pokruszonymi muszlami ostryg. Grupa pasażerów podążała za szczupłym, ubranym tylko w przepaskę biodrową mężczyzną. Minęli

zakręt i oczom ich ukazał się zdumiewający widok. Między zabudowaniami, pięćdziesiąt metrów przed nimi stał biały kościół z wysoką wieżą, której przedtem nie widzieli, gdyż zasłaniały ją drzewa.

– Wiem, gdzie jesteśmy: to Tangareva! Jedna z Zapomnianych Wysp! – zawołał David.

Przewodnik doprowadził ich do stojącej na uboczu chaty. Wyszła z niej stara, bezzębna kobieta. Zamieniła kilka słów ze szczupłym mężczyzną, który przywiódł grupę, i schylając się weszła do środka.

Kilka chwil później na progu pojawił się wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna. Na piersi spływała mu siwiejąca broda, włosy miał również przyprószone siwizną. Jego ramiona zdobił kolorowy szal. Patrzył na nich poważnie, bez cienia uśmiechu.

David i Douglas podeszli, aby się z nim przywitać. Weszli do chaty. Na zewnątrz

czekały dwie grupy poszukiwawcze i strażnicy.

– Może uda nam się usiąść na chwilę – szepnęła Lori. – Mamy przed sobą jeszcze kawał drogi.

– A niby na czym mamy usiąść? – spytała rozsądnie Paula. – Na ziemi może być niebezpiecznie z powodu węży i insektów. Lepiej postójmy.

Po półgodzinnej naradzie mężczyźni wyszli z chaty. Douglas nie wyglądał na specjalnie zadowolonego, ale naukowiec uśmiechnął się do swojej żony próbując dodać jej odwagi. Cała grupka zebrała się wokół nich.

– Pewnie chcecie wiedzieć, czego się dowiedzieliśmy. No cóż, wewnątrz wyspy porośnięte jest wysoką i sztywną trawą *aeho*. Brzegi są skaliste i strome. Ale niedaleko stąd znajdują się zdziczałe plantacje kawy, pokryte owocami drzewa pomarańczowe i chlebowe. Jest również

całe mnóstwo bananów i pola tapioki. Plantacje drzew kokosowych są na południu wyspy, ale jak dla nas to zbyt daleko. Tubylcy mają ich jednak więcej, niż sami potrzebują. Ponieważ wódz obiecał współpracować z piratami, wszyscy zostali wypuszczeni na wolność. Mają nam pomóc w zdobyciu żywności – a nam pozwolono na w miarę swobodne poruszanie się po terenie wyspy – wyjaśnił Douglas.

– Czy jest tutaj telegraf lub radio? – zapytał Pete.

– Nic nam o tym nie wiadomo, ale oczywiście muszą mieć jakiś kontakt ze światem. Handlują przecież kopra i bananami. Wódz nie palił się jednak do udzielania nam informacji na ten temat. Dobrze im zapłacono i obiecano jeszcze więcej pieniędzy, jeśli wszystko pójdzie dobrze, a oni pozostaną lojalni wobec rebeliantów. W przeciwnym przypadku,

jeśli podejmą jakąś próbę niesienia pomocy pasażerom, mogą zostać spacyfikowani – dodał ponuro David.

Przez następną godzinę rozglądali się po wyspie. Szczególnie zainteresował ich piękny kościół pod wezwaniem świętego Stefana.

– Podobno po drugiej stronie wzgórza jest kilka pałaców. Może poszukamy ich jutro? – zaproponował David.

– Nie mam nic przeciwko temu, o ile wcześniej uda nam się zdobyć nieco żywności – powiedział doktor Gardner.

Po drodze widzieli kobiety zajęte pracą w polu, i rybaków łowiących ryby przy pomocy sieci.

– Wygląda na to, że na wyspie i w okolicznych wodach jest mnóstwo jedzenia. Sądzę, że tubylcy chętnie je nam sprzedadzą, ponieważ bardzo cenią sobie pieniądze białych ludzi. Mogą za nie kupować piwo i wino od marynarzy z

zawijających tu statków.

Pozostał im jeszcze jeden problem – zaopatrzenie w wodę. David pobrał próbki z kilku strumieni, by przetestować je po powrocie na statek.

– Łatwo będzie można zbudować tamę i czerpać wodę z utworzonego w ten sposób zbiornika – powiedział Jim.

Okolo południa cała grupa ruszyła w drogę powrotną do portu.

– Chciałbym się jeszcze dowiedzieć, która jest teraz właściwie godzina – powiedział Douglas.

– Myślę, że teraz, gdy dopłynęliśmy wreszcie do miejsca przeznaczenia, kapitan nie będzie tego przed nami ukrywał. Tutaj może się czuć bezpiecznie.

– Chyba rzeczywiście nie spodziewa się, że ktoś go tu odnajdzie – dodał Gardner.

– Jego plan był dopracowany w najdrobniejszych szczegółach. Przez najbliższy miesiąc nie spodziewają się na

Tangarevie żadnego statku. Jeżeli nawet na wyspie jest jakieś radio, to dobrze je ukryto. Nie ma wielkiej szansy, byśmy zostali wkrótce odnalezieni. Stary wódz będzie najprawdopodobniej współpracował z Montezem, a tubylcy, mimo że wydają się być z natury przyjacielscy, zapewne podporządkują się jego rozkazom – zastanawiał się głośno Douglas.

– Ładne dziewczyny będą tańczyć dla pasażerów i grać egzotyczne melodie. Ale będą udawać, że nic nie rozumieją, kiedy zapytasz o coś, co jest dla nich niewygodne – zauważył David.

– Słyszałam kiedyś historię o pewnym Amerykaninie, który długo nie mógł znaleźć sobie miejsca w Stanach – zaczęła Paula. – Był kowbojem, potem pracował na kolei, trochę pływał. Aż w końcu ożenił się z kobietą z Tangarevy, osiedlił się i został właścicielem dobrze prosperującej

plantacji.

– I co się z nim stało? – zapytał Gardner.

– W końcu zrezygnował z plantacji, która przeszła na rodzinę jego żony. Prawdopodobnie wciąż jest na wyspie.

– W takim razie znajdziemy go! – zawołała Janet. – On już będzie wiedział, co zrobić.

– Istnieją bardzo małe szanse, że uda nam się go znaleźć – odparł David. – Słyszeliśmy o nim jakieś dwa lata temu, a kapitan statku, który nam o nim opowiadał, twierdził, że nie miał żadnej wiadomości o tym człowieku od paru lat. To kolejna z miejscowych legend.

– Ale w takich miejscach czas nie ma wielkiego znaczenia – zaprotestowała Lori. – Ten człowiek może tu nadal przebywać. Możliwe, że będzie w stanie nam pomóc.

– Pobożne życzenia – stwierdził Douglas. – Ale postaram się to sprawdzić.

Wrócili na „Lunę” tuż po obiedzie.

Mężczyźni udali się na naradę z kapitanem Starkiem i Montezem.

– Świetnie się panowie sprawili – pogratiłował im Montez. – Nie sądzę, żeby ich wódz nie zechciał z nami współpracować. Od dawna prowadzą handel z wielkimi korporacjami, sprzedają im głównie koprę. Jeżeli kapitan Stark nie ma nic przeciwko temu, zaproszę ich tancerzy na występy. Ożywi to program artystyczny. Mogliby również sprzedać pasażerom jakieś swoje wyroby. Kapitanie?

– Oczywiście – Stark skinął głową.

– Zapewne widzieli panowie kościół, pałace, fabrykę tekstyliów. To dzieło ojca Devalle, który przybył tu z misją parędziesiąt lat temu. Udało mu się zchrystianizować tę wyspę, której mieszkańcy byli przedtem ludożercami – powiedział Montez.

– Widzieliśmy tylko kościół – stwierdził

Douglas. – I ruiny.

– To właśnie ruiny pałaców. Jeżeli ktoś życzyłby sobie je zwiedzić, nie widzę problemów.

Po rozmowie z Montezem Douglas udał się do dziewczyn, by zdać im relację z odbytego spotkania.

– Ależ ten facet stał się przyjacielski, kiedy okazało się, że nic nie zagraża jego władzy. Spójrzcie, jaki jest przewrotny, jak dba o pasażerów. A przecież to, co robi, jest poważnym przestępstwem! Nie martwcie się również o swoje rodziny. Rebelianci poinformowali świat, że pasażerowie są bezpieczni i znajdują się na jednej z wysepek Pacyfiku. Wszyscy już wiedzą, że warunkiem naszego uwolnienia jest rezygnacja prezydenta-elekta.

– A co na to świat? – chciała wiedzieć Lori.

– Tego niestety kapitan zapomniał nam powiedzieć – uśmiechnął się Douglas.

Rozdział 5

– To wszystko jest jak zwariowany sen – powiedziała Janet. kiedy kładły się już spać. Postanowiłam, że nie mogę poddawać się tej sytuacji. Bez względu na to, co się z nami stanie, będę codziennie robiła sobie makijaż, a do kolacji będę ubierała jakąś stylową sukienkę.

Świetny pomysł! Myślę, że w ten sposób dasz przykład pozostałym pasażerom. Nie powinniśmy upadać na duchu – pochwaliła ją Lori.

– Przyznaję, że kieruję się dość egoistycznymi pobudkami. Wydaje mi się, że spodobałam się doktorowi Gardnerowi, chcę więc wyglądać możliwie atrakcyjnie. Craigowi byle co się nie podoba.

– Craigowi? Lori uniosła brwi ze zdumienia.

– Oczywiście. Sam poprosił mnie,

żebym mówiła mu o imieniu. Byłoby dość dziwne, gdybyśmy po ostatnich przejściach ciągle zachowywali się wobec siebie oficjalnie.

– Racja. Znajomości zawierane w takich warunkach szybko stają się bliskie. Nie mówiąc o tym, co się zdarzy, nim wrócimy do cywilizacji.

– Boję się najbliższej przyszłości. Ciężko jest mi pogodzić się z myślą, że będę musiała wracać do szkoły. Ale rodzice nigdy by mi nie wybaczyli, gdybym została w domu – zwierzyła się Janet.

– Lepiej o tym zapomnij. Paryż bardzo ci się spodoba. Nie znam wielu młodych ludzi, którzy mieliby szansę studiować na Sorbonie.

Wiem. Jestem rozpieszczonym dzieckiem. Ale wydaje mi się, że Craig mnie lubi.

– Oczywiście, że cię lubi – zgodziła się

Lori.

Zgasiała lampkę, mając nadzieję, że Janet uczyni to samo, ale kiedy zapadała w sen, Janet wciąż pogrążona była lekturze książki.

Kiedy obudziła się następnego ranka, jej towarzyszka jeszcze słodko spała. Wstała z koi, podeszła do bulaja i wyjrzała na zewnątrz. Słońce wschodziło właśnie znad obłoku mgły, na niebie nie było żadnej chmurki. Zapowiadał się kolejny upalny dzień.

Napisała list do rodziców. Służba okrętowa nadal zbierała pocztę, która miała zostać wysłana przy pierwszej nadarżającej się okazji.

Janet obudziła się w momencie, gdy Lori przygotowała się do wyjścia na pokład.

– Czemu nie powiedziałaś mi, że wychodzisz? Ubiorę się szybko, jeśli na mnie poczekaasz. Albo nie, lepiej idź. a ja

za chwilę do was dołączę. Właściwie nie jestem specjalnie głodna. Jeżeli jednak postanowicie zejść na ląd, możesz na mnie liczyć.

– Z pewnością nie zostawimy cię samej. Prawdę mówiąc chciałam cię obudzić przed wyjściem. Musiałaś chyba czytać do późna w nocy.

Janet stłumiła ziewnięcie.

– Nie mylisz się. Przekaż mojemu bratu, by na mnie poczekał – powiedziała ubierając się.

W drodze do jadalni Lori przechodziła przez wąski korytarzyk. Była niemal pewna, że dostrzegła młodego oficera, który kiedyś prosił ją o taniec. Odwróciła wzrok i przyspieszyła kroku udając, że jest zajęta. Na schodach niemal wpadła na Douglasa.

– Cześć! Właśnie się po was wybierałem. Czas na śniadanie.

– Zjem je z przyjemnością – odparła

Lori. Apetyt dopisywał jej, po raz pierwszy od dnia porwania „Luny”. – Janet zaraz przyjdzie.

– Wyruszamy za godzinę, ma więc jeszcze sporo czasu. Lepiej włóżcie na nogi jakieś porządne buty.

Wkroczyli razem do jadalni i zajęli mały czteroosobowy stół. W chwilę później przyłączył się do nich Craig Gardner, przystojny jak zwykle, chociaż pod jego oczami pojawiły się cienie.

– Wygląda pan na zmęczonego – zauważyła Lori.

– Późno się wczoraj położyłem. Nagły atak wyrostka. Drugi przypadek w ciągu ostatnich dni. Całe szczęście, że to nie jest zaraźliwe – uśmiechnął się doktor.

– Może w takim razie nie powinieneś dzisiaj schodzić na ląd – wtrącił szybko Douglas.

– Będę musiał wrócić trochę wcześniej. Mam kilku pacjentów koło południa. Nie

zamierzam jednak zrezygnować z wycieczki. Zapowiada się piękny dzień. A gdzie się podziewa Janet?

– Już idzie. Pozwoliłam jej pospać trochę dłużej, wczoraj zasiedziała się nad książką.

– To dobrze. Chciałbym, żeby wszyscy pasażerowie znaleźli sobie jakieś zajęcie, coś, co pozwoliłoby im zapomnieć o trudnej sytuacji. Co byście powiedzieli, gdybyśmy zorganizowali jakieś zawody czy występy artystyczne dla młodych?

– Świetny pomysł. Sama znam dwoje pasażerów grających na skrzypcach. Na pewno znajdzie się więcej talentów.

Wkrótce wydano rozkazy dotyczące rozkładu dnia. Wszyscy odetchnęli z ulgą, reżim znacznie zelżał. Pozwolono grupom liczącym do czterdziestu osób udać się na wyspę, pod warunkiem, że nie będą oddalać się na więcej niż pięć mil od brzegu. Oczywiście grupom mieli

towarzyszyć strażnicy.

Pasażerom trzeciej klasy zezwolono na pracę przy zbieraniu żywności. W zamian mieli otrzymywać dwa dolary za godzinę, lub zwrot części należności za bilety.

– Montez tym razem przesadził! – zdenerwował się Douglas. – Nie miał prawa podejmować takich decyzji za armatora statku.

Mimo to około setki pasażerów trzeciej klasy zgłosiło się do pracy. Część z nich stanowili turyści wracający do Europy po podróży do Stanów. Z wdzięcznością przyjęli propozycję, dzięki której mogli nieco podreperować swoje finanse.

Po skończeniu pracy grupa Douglasa udała się na zwiedzanie wyspy. Lori zafascynowało wnętrze kościoła świętego Stefana, który odkryli poprzedniego dnia.

– Ten kościół ma swoich przywódców, można by rzec „kapłanów” – stwierdził David. – Pieśni w ich rodzimym języku są

znane na wielu okolicznych wyspach.

– Nie ma tu żadnych konfliktów?

– Ojciec Devalle poskromił zapędy tubylców. Musisz pamiętać, że populacja na wyspie jest bardzo mała. Prawie każdy ma przodka, który został poddany działalności misyjnej Devalle'a.

Prowadząc ich do podziemi kościoła Douglas powiedział, że istnieje wyjście, które wiedzie stąd na sam brzeg.

– Wczoraj usłyszałem legendę, że odbywał się nim szmugiel rumu. Rum produkowany na wyspie cieszył się doskonałą renomą. Przemysłowcy przynosili tym kanałem ładunki pod osłoną nocy i wywozili.

No tak – zaśmiał się David. – Na każdej wyspie można usłyszeć podobną historię. Ale zastanówmy się, kto odszuka tego Amerykanina, o którym wczoraj mówiliśmy?

Czyżby pojawił się jakiś trop? –

zaciekawiała się Janet.

– Musimy zastanowić się, czy jest sens próbować szukać go na piechotę. A jeżeli tak, to jak pozbyć się strażnika. Pamiętajmy, że na wyspie musi istnieć jakieś radio. Te tancerki, które odwiedziły statek, łatwo dają się przekupić. Wczoraj dałem jednej z nich srebrnego dolara i spytałem, czy zna Amerykanina imieniem Dick. Z początku bardzo się wystraszyła, ale kiedy powiedziałem jej że to mój krewny, zwierzyła mi się, że ten facet ma „talktalk”. Domyślam się, że chodzi jej o walkie-talkie albo radio. Jeśli udałoby się nam do niego dostać, moglibyśmy spróbować sprowadzić pomoc drogą radiową.

– Ale czy warto ryzykować? – wtrącił Gardner.

– Prawie wszystko jest warte podjęcia ryzyka. Mamy do wyboru – być wkrótce na wolności albo siedzieć tu nie wiadomo

jak długo – zawyrokował Douglas.

Postanowiono więc, że Janet wróci z Gardnerem, na którego czekali pacjenci w ambulatorium, a pozostali dołączają do zbieraczy. W ten sposób nie będą tak zwracać na siebie uwagi. Dostali wyplatane ręcznie koszyki i zaczęli zbierać pomarańcze rosnące w pobliskim gaju. Trójka z nich miała się udać na poszukiwanie domu Amerykanina, a pozostali musieli sprawiać wrażenie, że praca idzie pełną parą. W sumie przy pomarańczach pracowało około czterdziestu ludzi, braku trzech nie dało się więc łatwo zauważyć.

Zdecydowali, że na poszukiwanie powinien wyruszyć Douglas i Lori oraz David. Pojedynczo znikali z gaju, wpadali w zielone zarośla i biegli pędem w kierunku wykładanej muszlami ścieżki.

Lori zatrzymując się tuż przed ścieżką wpadła wprost w ramiona Douga. Ten

przyciągnął ją do siebie i spojrzał głęboko w zielone oczy.

Serce zabiło jej szybciej.

„Zaraz mnie pocałuje”, pomyślała. Poczowała dotyk jego warg, który stawał się coraz mocniejszy.

– Lori, och Lori – szepnął.

– Hej, wy! Ruszajcie się – usłyszeli wołanie Davida.

Przedzierając się przez zieloną dżunglę wspięli się na szczyt pagórka. Przed ich oczami rozpostarł się widok ruin.

– Poczekajcie tu – powiedział cicho David. – Sprawdzę, czy teren jest czysty. – Zniknął w zielonym listowiu. Lori ścisnęła Douga za ramię i czekała wstrzymując oddech.

Po chwili zjawił się David. Położył palec na ustach i gestem nakazał im iść za sobą. Ruszyli za nim, tak szybko, jak to było możliwe w gęstej dżungli. Przeszli w ten sposób jakieś pół mili starając się nie

stracić z oczu ścieżki. W końcu znaleźli się na polance.

Spostrzegli ustawione w krąg, kryte strzechami chaty.

Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek w nich mieszka.

W wymarłej wiosce było cicho i spokojnie. David szybkim krokiem podszedł do pierwszej z brzegu chaty i zawołał:

– Halo, jest tam ktoś?

Bez odzewu.

David spróbował po raz kolejny, a gdy i tym razem nie usłyszał odpowiedzi, zapukał do drzwi. Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, drzwi otwarły się gwałtownie i wysunęła się przez nie lufa strzelby.

– O co chodzi, do cholery?

Lori uśmiechnęła się. Jak to miło usłyszeć rodzinny język.

– Dick? – zagaił David. – Dick, jesteśmy przyjaciółmi.

Ich oczom ukazało się skrzyżowanie Fidela Castro z Ernestem Hemingwayem. Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna z gęstą, potarganą brodą przyglądał im się uważnie.

– Amerykanie? Czego ode mnie chcecie?

– Zapewne wiesz, że nasz statek został porwany i jest obecnie przetrzymywany w tutejszym porcie – zaczął Douglas.

– Nie słucham plotek tubylców.

– Chcieliśmy cię odszukać i prosić o pomoc.

– A jak ja wam mogę pomóc? – zaśmiał się krótko mężczyzna. – Stałem się częścią tej społeczności. Dlaczego miałbym wam pomagać?

– Ciągle jednak jesteś przedstawicielem rasy ludzkiej, prawda? Na pokładzie „Luny” znajduje się siedmiuset pasażerów i członków załogi. Są wśród nich starcy, chorzy, nawet noworodek. Kończy nam się

jedzenie, brakuje wody, szczególnie w klasie turystycznej.

Dick zaśmiał się ponownie.

– A więc część z was miała dość pieniędzy, by podróżować pierwszą klasą. Nieźle wam się musiało powodzić: kryształ, porcelana, kąpiele w marmurowych wannach. Przykro mi, ale nie jestem w stanie nic dla was zrobić.

– A co z radiem? Mieliśmy nadzieję, że potrafisz skonstruować nadajnik.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Już to raz zrobiłem. Ale moje radio jest od dawna zepsute. Prawdę mówiąc nie jest mi do niczego potrzebne. Do widzenia państwu.

Stali patrząc na niego w milczeniu.

– Lepiej się stąd zbierajcie. W okolicy kręci się mnóstwo szpiegów. Spróbujcie wrócić w nocy, jeżeli macie dość odwagi, aby popłynąć do brzegu – powiedział i zniknął we wnętrzu chaty.

Lori westchnęła ciężko. Poczwała na ramieniu rękę Douglasa.

– No dobra, chodźmy.

– Świnia! – wybuchnął David. – Wstrętna, tchórzliwa świnia!

– Spróbujemy przyjść tu w nocy? – spytał Douglas.

– Nie, proszę, nie róbcie tego! – błagała Lori.

– Zapewne drwił sobie z nas. Założę się, że współpracuje z Montezem. Zostaniemy zastrzeleni, zanim uda nam się dopłynąć do brzegu, o ile nie zjedzą nas wcześniej rekiny – prorokował ponuro David.

Wkrótce dołączyli do reszty grupy.

– Czy zauważono nasze zniknięcie? – Douglas spytał szeptem Jima Adamsa.

– Chyba zaczęli coś podejrzewać, ale zrobiliśmy małe zamieszanie i dali sobie spokój. Dobrze, że już jesteście westchnął z ulgą Jim. – Jak wam poszło?

– Kiepsko. Ten gość odmówił

jakiegokolwiek pomocy. Powiedział tylko, że rzeczywiście kiedyś miał radio.

Całą resztę popołudnia spędzili na zbieraniu pomarańczy, co okazało się nadspodziewanie uciążliwe.

W drodze powrotnej na statek David i Douglas zapoznali pozostałych członków grupy z rezultatami swojej wyprawy. Opowiedzieli o propozycji nocnego spotkania, którą złożył im Dick.

– No i co o tym sądzicie? – zapytał Pete Adams. – Ja bym chętnie poszedł.

– Ryzykując życiem?! – sprzeciwił się David. – To nie jest tego warte. Przez ostatnie dwa dni jakoś dawaliśmy sobie radę.

Lori idąc obok Douglasa poczuła ciepło jego dłoni na swojej ręce. Ten drobny gest natchnął ją nagłym poczuciem bezpieczeństwa.

– A ty, Lori, co sądzisz o całej tej sprawie? – spytał.

– Dick wiele w życiu przeszedł. On już nie należy do naszego świata. Kiedy z nim rozmawialiśmy, było to trochę jak w książkach Kiplinga. Z drugiej strony ma przecież na wyspie rodzinę, zapuścił tu korzenie, nie możemy mieć o to do niego pretensji. Douglas – obróciła się do niego gwałtownie. – Obiecuj mi, że nie popłyniesz w nocy na brzeg.

– Dobrze, jeśli tylko sprawię ci tym przyjemność. – Obejrzał się do tyłu, by sprawdzić, czy strażnicy nie podeszli zbyt blisko. – Muszę ci się przyznać, że David ma chyba rację. Dick wygląda mi na sadystę. Zwodził nas, chciał, żebyśmy myśleli, że ma radio... Nie zależy mi na tym, by dać się zastrzelić albo być zjedzonym przez rekiny. Wolałbym raczej żyć w spokoju z ładną dziewczyną u boku.

Lori zdawało się, że zbyt szybko zgodził się na jej prośbę. Martwiło ją to przez cały czas i nie dało spokoju, kiedy mężczyźni

zebrali się na tajnej naradzie w kajucie doktora Gardnera.

Po krótkiej kąpieli przebrały się z Janet do kolacji.

– Wcale nie czuję się czysta – westchnęła Janet.

– Nie narzekaj, kochanie. Możemy mieć tylko nadzieję, że nie spotka nas nic gorszego niż racjonowanie wody.

– Czy po południu stało się coś interesującego?

Lori nie wspomniała jej ani słowem o propozycji Dicka. Wystarczyło, że powiedziała, iż go spotkali, lecz on nie^o mógł, lub nie chciał im pomóc.

– Wydaje mi się, że Craig ma rację. Powinniśmy iść na współpracę z porywaczami, dopóki możemy w ten sposób zbierać owoce i dostawać świeżą wodę. Bardzo martwi się o lekarstwa.

Wieczór przebiegał spokojnie. Jak zwykle grano w karty, bilard,

zorganizowano tańce. Douglas i Lori tańczyli ze sobą kilkakrotnie. Członkowie orkiestry przyzwyczaili się już do nowej sytuacji i nie byli tacy spięci. Życie na „Lunie” wracało do normy. Mogłoby się wydawać, że trwa zwyczajny rejs.

Douglas wyprowadził Lori na pokład.

– Spójrz – pokazał na niebo. – Znowu świeci księżyc.

– Ten sam księżyc, ta sama dziewczyna, ten sam facet, co w ostatnim tygodniu podróży. Pamiętasz?

– Doskonale. Pamiętam wiele rzeczy. Pamiętam, jak martwiłaś się o mnie, i bardzo mi się to podobało. Pamiętam, jak ślicznie wyglądałaś wtedy w zielonej sukience i białej chuście, jak światło księżycy odbijało się w twoich oczach. – Pochylił się, żeby ją pocałować.

Serce Lori, bijące coraz szybciej, podpowiadało jej, że zakochuje się w Douglasie.

Rozdział 6

Lori, przerażona myślą, że mężczyźni naprawdę zamierzają wyruszyć na nocną wyprawę wpływ, zwierzyła się ze swych obaw Douglasowi.

– Przestań się tym martwić, Lori. Rzeczywiście dyskutowaliśmy na ten temat, ale doszliśmy do wniosku, że ten facet po prostu nas podpuszczał. Montez na pewno wie o jego obecności tutaj. Nawet gdyby rzeczywiście dysponował radiem, zostało ono z pewnością dobrze ukryte.

– Albo przejęte przez Monteza – dodała.
– Proszę cię, obiecaj mi, że nie będziesz się próbował skontaktować z Dickiem!

– Masz moje słowo. To byłaby głupota z naszej strony.

Uspokojona jego obietnicą Lori zaczęła przygotowywać się do snu. Oczywiście same

zamykały się jej ze zmęczenia. Wzdrygnęła się na myśl, że ich dzisiejsza potajemna wyprawa mogła zostać zauważona przez strażników. Z pewnością nie zważaliby na fakt, że jest kobietą i zastrzelili ich wszystkich z zimną krwią.

Następnego ranka zasnęła trochę i gdy weszły razem z Janet do jadalni, okazało się, że Douglas zostawił dla nich wiadomość. Zszedł na ląd razem z Jimem Adamsem i paroma innymi ludźmi.

Jeszcze przed południem dotarły do ich uszu dwie niepokojące nowiny. Okazało się, że wśród pasażerów klasy turystycznej stwierdzono kilka przypadków zatrucia pokarmowego. Drugą wiadomością był bunt załogi „Luny”.

– Odmawiają wykonywania swoich obowiązków, jeśli nie dostaną podwójnej zapłaty – wyjaśnił dziewczętom sędzia Moore.

– I co się teraz stanie? – dopytywała się

Lori.

– Montez będzie musiał przystać na ich warunki, to jasne. Jego piraci nie są w stanie zapanować nad trzystoma rozdrażnionymi ludźmi. Załoga wybrała już swego przedstawiciela. Montez ma dość rozumu, aby spróbować najpierw pokojowych pertraktacji. Gdyby wszyscy mężczyźni przyłączyli się do buntu, rebelianci mieliby prawdziwy powód do niepokoju. Być może nie zawahają się w takiej sytuacji przed użyciem siły.

– Mój brat powiedział, że pasażerom odebrano broń – wtrąciła Janet.

– To prawda. Może zostało jeszcze gdzieś parę ukrytych pistoletów, ale ogólnie można powiedzieć, że jesteśmy bezbronnym tłumem.

– Chyba lepiej zgodzić się na współpracę z nimi. Nie mam ochoty robić z siebie bohaterki – powiedziała piękna żona sędziego.

– Wkrótce będziemy mieć to już za sobą i cała ta historia zostanie w naszej pamięci jako najwspanialsza przygoda naszego życia. Będziemy mieć o czym opowiadać wnukom, prawda, kochanie?

– W rzeczy samej. Żal mi tylko tych biednych ludzi z niższych pokładów. Czy jedli coś, co mogło im zaszkodzić?

– Paru z nich mogło wypić zanieczyszczoną wodę. Doktor Gardner stara się usilnie odnaleźć źródło zatrucia. Epidemia to ostatnia rzecz, jakiej nam tutaj potrzeba.

Dziewczęta postanowiły popływać przez chwilę przed lunchem. Lori początkowo zastanawiała się, dlaczego mężczyźni wybrali się tego dnia na ład, ale później inne sprawy zajęły jej myśli.

– Zamierzam zorganizować dzisiaj po południu jakieś zabawy dla dzieci – powiedziała Janet. – Może pójdziesz ze mną do biblioteki i pomożesz mi wybrać

dla nich jakieś książeczki?

– Chętnie, ale mogę to robić tylko do wpół do trzeciej. Potem mam spotkanie w sprawie organizacji zawodów sportowych.

Rozmawiały jeszcze o planach zorganizowania „nocy talentów”. Okazało się, że pomysł ten zaczął cieszyć się coraz większym uznaniem wśród pasażerów. Przez cały dzień ludzie schodzili się, by dowiedzieć się czegoś bliższego na ten temat. Słyszało się coraz mniej utyskiwań na zaistniałą sytuację.

Czwartego dnia do pracy na brzegu zgłosiło się mnóstwo starszych osób, które nie zważały na słowa lekarzy ostrzegających ich, że panujący upał może okazać się niebezpieczny.

Wieczorem, kiedy Lori ubierała się do kolacji, ktoś delikatnie zapukał do ich kajuty. Nie mogła to być Janet, która już wcześniej wyszła na spotkanie.

Otwierając drzwi Lori ujrzała ogromny

bukiet kwiatów. Przesyłka dla panny Mason – oznajmił chłopiec okrętowy.

Podziękowała, a kiedy posłaniec zniknął, otworzyła dołączoną do bukietu białą kopertę. Na małej karteczce napisano po angielsku:

„Gratuluje pani postawy i zdolności w niesieniu pomocy pasażerom. Pani wielbiciel. Juan. ”

Lori jęknęła. Kwiaty musiały pochodzić od owego pirata, który poprosił ją do tańca. Od czasu rozmowy mężczyzny z kapitanem Montezem nie miała od niego żadnej wiadomości.

W tym momencie do kajuty wpadła Janet. Zatrzymała się zdziwiona patrząc na Lori i bukiet róż.

– Co to jest?

Lori wręczyła jej kartkę.

– I co teraz zrobisz? Nie możesz ich odesłać. Bardzo byś go w ten sposób obraziła.

– Sama nie wiem, co począć.

– Poczekaj tu. Pójdę po Douga. Może on coś wymyśli.

Po chwili Janet wróciła z bratem.

– Słyszałem, że masz problemy – zaczął Douglas. – No cóż, nie winiłbym tego człowieka. Ja sam powinienem był przysyłać ci róże każdego dnia. ale byliśmy zbyt zajęci.

– Co mam zrobić z tym fantem, Douglas?

– Wiem! Wiem! – zachichotała nagle Janet. – Zaręczyny!

Pozostała dwójka patrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Musimy cię zaręczyć. Nie wiem, jakie są zwyczaje w ich kraju, ale chyba rozumieją, że narzeczony Lori nie zgodzi się nigdy, żeby jakikolwiek facet składał hołdy jego wybrance.

– To bez wątpienia romantyczny pomysł. Ale do czego zmierzasz?

Lori uśmiechnęła się lekko. Douglas nie mógł być taki tępy, żeby nie wiedzieć, o czym mówi jego siostra. Dziewczęta spojrzały na niego znacząco. Doug zmieszał się, ukrył ręce w kieszeniach i zmarszczył brwi.

– Jesteś młodym, czarującym chłopcem, braciszku zaśmiała się Janet.

– Wcale nie jestem czarującym chłopcem... Ja... Ja byłbym bardzo zaszczycony mogąc udawać narzeczonego Lori.

– W takim razie musimy znaleźć gdzieś odpowiedni pierścionek – zawyrokowała Janet.

– Mam pierścionek z perłą! Dostałam go od rodziców, kiedy zdałam maturę – zawołała Lori.

Podeszła do stolika, otworzyła szufladę, wyciągnęła pierścionek i założyła go na palec.

– To tylko częściowo rozwiązuje

sytuację – zauważyła. – Napiszę temu Juanowi odpowiedź: „Wraz z narzeczoną przyjmujemy pańskie gratulacje i bardzo dziękujemy za prześliczny bukiet róż”. No i... ?

– Za dużo naoglądałyście się „Dynastii” – zaśmiał się Douglas. – Ale pomysł powinien chwycić. I w ten oto sposób stworzyliśmy narzeczoną. A ja, kochanie, jestem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

– Pamiętaj, że to tylko zabawa – ostrzegła Lori.

– *To* się rozumie samo przez się – uśmiechnął się.

Podczas obiadu dowiedzieli się od doktora Gardnera, że zatrucie pokarmowe zostało opanowane i pacjenci czują się już znacznie lepiej.

– Czy wie pan, co było źródłem zatrucia? – dopytywali się.

– Sądzę, że pasażerowie, którzy wsiedli

na statek w ostatnim porcie, byli chorzy, a inni zarazili się od nich.

– A co słychać u zbuntowanej załogi?

• Jim Adams zaśmiał się krótko.

– Dobry kapitan nie może sobie pozwolić na takie ryzyko, ostatecznie zgodził się więc na ich warunki. Otwarty bunt oznaczałby koniec jego planów i być może pociągnąłby za sobą śmierć kilku zupełnie niewinnych ludzi. Obecnie nastrój na statku jest całkiem niezły, chociaż sytuacja może się zmienić w każdej chwili.

– Czy mamy dość wody? – spytała Lori.

– Z tym są pewne trudności. Musimy ją sterylizować i dlatego nadal jest racjonowana. Do stołu poszedł posłaniec w białym mundurze. Niósł wiaderko wypełnione lodem, w środku którego spoczywała butelka szampana.

– O nie! – jęknęła Lori. – Następna butelka!

– Uszanowania od oficera siedzącego

przy tamtym stole – ukłonił się posłaniec.

– Podziękuj temu panu – polecił Douglas.

Kelner otworzył butelkę i nalał im do kieliszków musujące wino.

– I co mamy zrobić w takiej sytuacji? Czy powinniśmy im się w jakiś sposób zrewanżować? – spytała Janet.

– Wydawało mi się, że postanowiliśmy się nie spoufalać z nimi – zaprotestował Jim Adams. – Ich zachowanie jest obrzydliwe, nie zamierzam nawet tknąć tego szampana.

– Och, daj spokój – uśmiechnął się Douglas. – To rocznik 1924, naprawdę świetny. Szkoda byłoby zmarnować taką okazję.

Nachylił się i ujął dłoń Lori.

– Powiedz im kochanie o tym. co się stało przed obiadem.

Lori z wahaniem opowiedziała o kwiatach i ich decyzji udawania, że jest

zaręczona z Douglasem.

– Był tak uprzejmy, że zgodził się odgrywać tę rolę przez pewien czas.

– Jeżeli tylko będziesz miała ochotę zmienić narzeczonego, daj mi znać – zaoferował się z entuzjazmem Pete. – Choćby teraz.

– Ja wcale nie zamierzam ustąpić ci miejsca. Martwi mnie jedno – nie mogę wymagać od niej dotrzymania obietnicy wymuszonej okolicznościami.

Ależ jesteś rycerski! – zachichotała Lori. – Żarty na bok, panowie, wiecie dobrze, że to tylko chwilowa sytuacja. Nasze uwolnienie od piratów będzie również oznaczało uwolnienie od narzeczeńskich zobowiązań.

Całe towarzystwo było w dobrym nastroju, śmiali się więc i żartowali jeszcze przez chwilę. Lori zauważyła nagle wściekłość rebelianckich oficerów siedzących zaledwie kilka metrów od nich.

Obserwowali ich uważnie. Lori zdała sobie sprawę, że dokładnie widzieli, jak Douglas trzymał ją za rękę i wskazywał na jej „zareczynowy” pierścionek.

– Nie patrz na razie w ich stronę. Wydaje mi się, że możemy mieć kłopoty. Oni myślą, że to z nich się śmiejemy – powiedziała przyciszonym głosem do Douglasa.

– No i dobrze! – uśmiechnął się Jim. – Tęsknię do jakiejś porządnej bijatyki.

– Nie wygłupiaj się! – mitygował go Gardner.

– Zamknij się, Jim – dodał jego brat Pete. Napełnił szampanem szklanekę Jima i szepnął rozkazująco:

– Nie obchodzi mnie, co o tym sądzisz, masz to wypić do dna. Jest zresztą naprawdę niezły.

– Ja też sobie doleję – dodał Douglas.

Lori rzuciła ukradkowe spojrzenie na stolik, przy którym siedzieli oficerowie.

Podjęli przerwana rozmowę, ale w ich głosach czuło się gniew. Wkrótce zresztą opuścili jadalnię i zniknęli na całą resztę wieczoru.

Po kolacji, pomimo ładnej pogody, Lori i Douglas nie wybrali się na spacer po pokładzie. Lori czuła się trochę nieswojo w roli „narzeczonej” Douglasa i unikała wszelkich okazji do przebywania z nim sam na sam. Był dla niej bardzo uprzejmy i miły, tak jak przez ostatnich parę dni; nie wyczuwała w jego zachowaniu żadnej zmiany.

Ostatecznie zdecydowali się pójść do sali tanecznej. Tańczyli, gdy nagle podszedł do nich kelner oferując zimne napoje.

– Dziękuję, nie chce mi się pić – odmówiła Lori.

– Proszę najbliższą szklanekę – zwrócił się kelner do Douglasa. – Jest pod nią dla pana wiadomość. Życzę miłego wieczoru,

dobranoc państwu – uklonił się i oddalił.

– Poproszę teraz Pete'a, aby z tobą zatańczył. Muszę zobaczyć, co tam jest napisane – odezwał się Douglas.

– Oczywiście. Ja również umieram z ciekawości.

Pete i Doug zgrabnie wymienili się partnerką. Nikt z tańczących nie zwrócił na ten incydent uwagi. Melodia skończyła się. Kiedy zaczął się następny kawałek, Douglas pojawił się powtórnie na sali.

– To od Dicka. Ma dla nas jakieś informacje.

– Ale nie zamierzasz płynąć na brzeg? Douglas, proszę cię – głos Lori przerodził się w łkanie.

– Nie. Obiecuję ci. Tańcz dalej, jakby nic się nie stało.

– Co było napisane na kartce?

– Potem ci powiem. Spaliłem ją. Chodźmy do baru, kiedy przestaną grać.

Po skończonym wieczorku pożegnali się

ze znajomymi i udali się do baru. Zamówili kanapki.

– Dick napisał „Przyjdźcie jutro po południu”. Myślę więc, że ma zamiar nam pomóc. Inaczej nie ryzykowałby niepotrzebnie przysyłając wiadomość.

– Jak chcesz się uwolnić od straży?

– Musimy pójść jutro na brzeg. Byłoby najlepiej, gdyby poszło z nami dużo ludzi, wtedy łatwiej będzie się wymknąć. Obawiam się jednak, że po dzisiejszym dniu sporo osób ma już dość upału, owadów i kurzu.

– A co z naszą grupą?

– Nie chciałbym, żeby o całej sprawie wiedziało zbyt wiele osób. Pójdę tylko z Davidem. On i Paula zbierali jakieś okazy do swojej kolekcji, sądzę więc, że uda nam się oddalić nie budząc zbyt wielu podejrzeń.

– Będę za was trzymać kciuki.

– Nie martw się. Największe niebezpieczeństwo polega na tym, że

porywacze mogą również usłyszeć nadawaną przez radio wiadomość. A to może zmusić Monteza do wykonania jakiegoś ruchu. Najprawdopodobniej przeniesie się na inną wyspę, ale świat przynajmniej dowie się, w jakim rejonie nas szukać.

– Może więc trzeba by nadać wiadomość bardzo późno w nocy albo wcześniej rano, kiedy piraci nie są tak czujni.

– Masz rację – skinął głową. – To jedyna rozsądna pora. Poza tym musimy wierzyć, że Dick wymyślił coś mądrego.

Lori poczuła się bardzo zmęczona. Ten dzień był dla niej wyjątkowy. Zdarzyło się tyle rzeczy. Wyszli z baru i ruszyli w kierunku swoich kajut.

Kiedy Lori wyciągnęła klucz, by otworzyć drzwi kajuty, Douglas złapał ją za rękę.

– Lori... – zaczął miękko. – Wiele o

tobie ostatnio myślałem.

– Ja również myślę o tobie, Douglas.

– Jeżeli spotkalibyśmy się w innych warunkach, czy zwróciłabyś na mnie w ogóle uwagę?

– Z pewnością. – Chciała mu powiedzieć jeszcze wiele rzeczy, ale od ich fikcyjnych zaręczyn minęło zbyt mało czasu, żeby mogła się na to zdobyć. – Cóż, zobaczymy się jutro. Dobrej nocy.

. – Dobranoc, Lori. – Pocałował ją. – Miłych snów. Weszła do środka. Janet leżała przykryta lekkim prześcieradłem. Zapomniała zgasić lampkę, która teraz świeciła jej prosto w twarz. Lori podeszła na palcach do jej łóżka i przekreśliła kontakt. Janet uśmiechnęła się przez sen.

– Craig, Craig? – wymamrotała.

Lori kładąc się spać uśmiechnęła się.

„Ach, te romanse. Ona jest taka młoda” pomyślała.

Nagle usiadła na łóżku. A co sobie mógł

pomyśleć Douglas o ich związku? Czy to dlatego pytał ją o siebie i o spotkanie w innych okolicznościach?



Rozdział 7

Następnego dnia przy śniadaniu Douglas oznajmił Lori, że byłoby najrozsądniej, gdyby została na pokładzie statku i zajęła się swymi codziennymi obowiązkami. Dyskutował wczoraj z Davidem do późna w nocy rozważając możliwości zobaczenia się z Dickiem. Nikt, nawet Paula, nie znał ich planów. Względy bezpieczeństwa wymagały, by jak najmniejsza ilość osób wiedziała, że w ogóle podejmują próbę uzyskania pomocy z zewnątrz.

Lori starała się panować nad emocjami. Nie chciała, aby Douglas spostrzegł, jak bardzo się denerwuje na myśl o ich niebezpiecznej wyprawie. Kiedy do stolika przysiadł się sędzia z żoną, szybko zmienili temat rozmowy. Jadalnia zaczęła się wypełniać. Lori zauważyła, że pasażerowie przestają przykładać tak dużą

wagę do swego wyglądu jak dotychczas. Nie wszystkie kobiety miały starannie ułożone fryzury, a ich stroje nie były specjalnie eleganckie. Może to upał dawał im się we znaki.

Według słów Monteza ich tułaczka miała się skończyć za trzy dni, o ile prezydent-elekt zrezygnuje z podjęcia swych obowiązków.

– Rozmawiałem wczoraj z kapitanem Starkiem – odezwał się sędzia Moore. – Podobno nie sposób jest dowiedzieć się czegoś od Monteza. Nawet jeśli otrzymuje jakieś wiadomości przez radio, zachowuje je wyłącznie dla siebie.

– Co się stanie, jeśli prezydent nie zrezygnuje?

– Nie zastanawiajmy się teraz nad takim rozwojem wypadków. – Douglas uścisnął jej dłoń. Udawajmy, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Lori niespodziewanie zdała sobie

sprawę, że ani Douglas, ani David nie wierzą, że nowy prezydent poda się do dymisji i że sprawy nie potoczą się tak, jakby tego chciał Montez. Zanim opuścili jadalnię, odciągnęła Douglasa na bok i powiedziała mu o tym.

– A jak ci się wydaje, co zrobi Montez, jeżeli jego plan zawiedzie? Myślisz, że statek pełen ludzi będzie dla niego coś znaczył? Mógłby nas tu trzymać do sądneho dnia. Musimy działać. Nie bój się – pocieszył ją, widząc jej zatroskane spojrzenie. – Nic mi nie będzie. Cenię sobie swoją skórę, a poza tym muszę się wami opiekować.

Odprowadził ją do kajuty i udał się na spotkanie z Davidem. Przy wejściu do ich kabiny stwierdził, że ten jest już gotowy do drogi. Wyszli na pokład i dołączyli do pasażerów, którzy ustawili się w kolejce, czekając na łódki, mające ich zabrać na brzeg. W sumie zebrało się trzydzieści

osób, lecz nie wszyscy mieli pracować. Część chciała zobaczyć kościół i ruiny, o których tyle mówiło się na statku.

Do burty podpływały małe łodzie. Chętni do wyjścia na ląd zaczęli schodzić do nich po trapie.

– Wyobrażam sobie, jak będą wyglądali za dwie godziny – stwierdził David. – Obolali, spoceni i z poparzeniami słonecznymi na całym ciele. Kiedy wrócą na „Lunę”, będziemy jeszcze długo słuchać ich zawodzeń i jęków.

Dobili do brzegu. David i Douglas podążyli za dużą grupą udającą się na zwiedzanie kościoła i ruin. Turyści co chwila wydawali okrzyki zachwytu na widok tubylczych chat, pracujących na polach ludzi i ruin cywilizacji przyniesionej tu przez ojca Devalle'a.

Ranek mijał wolno. Jeden po drugim pasażerowie zaczęli przyznawać, że mają już dość zwiedzania. David zaproponował

młodszy obejrzenie zagajników pomarańczowych, na co większość z ochotą przystała. Zaoferowali się również, że pomogą przy zbieraniu owoców. Nadarzała się znakomita okazja do zniknięcia.

Znaleźli się w innym zagajniku niż poprzedniego dnia. Douglas i David wybrali sobie wysokie drzewa rosnące na skraju, by zwiększyć szansę powodzenia akcji.

Znacznie dziś spokojniejsi strażnicy nie przykładali się zbytnio do pilnowania. Tubylcy także zdawali się zupełnie nie zwracać uwagi na pracujących pasażerów. Po pół godzinie, kiedy mieli pewność, że nikt ich nie obserwuje, Douglas i David zniknęli w zaroślach.

Gdy wyszli z lasu na polanę, na której znajdowała się chata Dicka, byli mokrzy od potu. Ostrożnie podeszli do zabudowań. Douglas zapukał w drewnianą framugę

drzwi.

W szparze ukazała się natychmiast zarośnięta twarz Dicka.

– Czy ktoś was widział? – zapytał niespokojnie.

– Nie. Jesteśmy pewni, że nie.

– To dobrze, wejdźcie.

W środku było nadspodziewanie jasno. Ze zdziwieniem stwierdzili, że stoją na drewnianej podłodze. Pod ścianami znajdowały się dwa łóżka, a na ścianach wisiały różne ozdobne przedmioty wykonane przez tubylców.

– Siadajcie. – Dick pokazał im krzesła. – Nie chcę was dłużej trzymać w niepewności. Naharowałem się ostatnio nad radiem, ale przynajmniej działa. Ten cały kapitan, który was porwał, będzie chyba musiał zrewidować swoje plany.

– Czy udało ci się skontaktować z kimś, kto mógłby nam pomóc?

– Głowa do góry. Mam przyjaciela na

Tahiti, sędzę, że jesteście w stanie się z nim połączyć. Na razie jednak tylko nasłuchiwałem, co się dzieje na świecie. Okazuje się, że w poszukiwaniu „Luny” zaangażowało się bardzo wielu ludzi.

– Kiedy mógłbyś nadać wiadomość o naszym pobycie na wyspie?

– Prawdopodobnie dziś wieczór. O ile to cholera znowu się nie popsuje.

– Czy ktokolwiek w okolicy wie, że naprawiłeś swój sprzęt?

– Nie jestem idiotą. Nawet moja żona niczego się nie domyśla. Wybrała się dzisiaj w odwiedzinach do krewnych, po drugiej stronie wyspy.

– Nie docenialiśmy cię, Dick – stwierdził David.

– Może potrzebujesz czegoś od nas? – spytał Douglas.

Dick zaśmiał się.

– Na zdobycie czegokolwiek od porywaczy macie marne szanse. Jeżeli

radio nawali – to będzie koniec. Ale jeśli uda mi się skontaktować z tym gościem z Tahiti, wszystko pójdzie dobrze. Można na nim polegać.

Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie i ruszyli z powrotem. Po drodze zebrali trochę owoców, tak że kiedy pojawili się znowu w grupie zbieraczy, nie wzbudzili niczyich podejrzeń.

Kolejne dni wypełniało oczekiwanie i niepewność. Wtajemniczona trójka czekała na wiadomość od Dicka, pasażerowie zaczęli się niecierpliwić i narzekać. Oderwanie od świata przedłużało się.

Pod koniec ósmego dnia Montez spotkał się z kapitanem „Luny” i delegacją pasażerów. Spotkanie trwało tylko pół godziny. Po wyjściu delegacja miała zmartwione miny.

Prezydent-elekt został zaprzysiężony, a Montez, mając nadzieję, na jego późniejszą rezygnację, zdecydował się

przetrzymać zakładników tak długo, jak to będzie konieczne.

Lori starała się zmusić do czytania, ale zupełnie jej to nie wychodziło. Janet przerzucała bez zainteresowania kartki jakiegoś czasopisma.

– Co się z nami stanie, Lori? Jesteśmy tu już ponad tydzień. Dlaczego się nie zorganizujemy? Jest nas przecież ponad siedemset osób, a ich tylko pięćdziesięciu.

– Ale mają broń, a my gołe ręce. Na razie, poza dwoma trupami, obyło się bez poważniejszych strat.

– Piraci nie mają w tym żadnej zasługi! Craig pracuje dzień i noc, tak jak i reszta lekarzy. Pielęgniarki padają na nos, kończą się zapasy żywności. Siedzimy na beczce prochu.

– Nie my, kochanie. Kapitan Montez. Kiedy znajdziemy się w jakimkolwiek porcie, zostanie z hukiem wtrącony do więzienia.

Lori długo nie mogła zasnąć. Jej rodzice zapewne odchodzili od zmysłów. W – podobnej sytuacji musieli być krewni pozostałych pasażerów na statku. Pewnie wydzwaniali bez przerwy do Waszyngtonu, spodziewając się otrzymać pomoc od rządu Stanów Zjednoczonych. Nie wiedziała, jak szeroką akcję podjęto w celu odnalezienia porwanego statku, ale na pewno bardzo pomogłoby, gdyby Dickowi udało się skontaktować ze światem. Zdawała sobie sprawę, że porywaczy spotka zasłużona kara, żadne państwo nie będzie tolerować piractwa. Najpierw jednak musiano ich odnaleźć.

Następnego ranka wszyscy byli w wyjątkowo kiepskich nastrojach. Załoga zupełnie przestała interesować się swoimi obowiązkami. Nikt już nie mył pokładu, nikt nie zmieniał pościeli w kajutach.

Kilka kobiet w ciąży zasłało od upału. Każdy zaczynał troszczyć się tylko o

siebie. Pasażerowie zajmowali się głównie racjami żywności i świeżej wody, starając się dostać jak najwięcej owoców przynoszonych z lądu. Wy pływało to raczej z łakomstwa niż rzeczywistej potrzeby.

– Co się obecnie nosi w szalupach ratunkowych? – spytała lekko Janet podczas obiadu.

– Janet! Nigdy nie waż się tak mówić! Nawet jeżeli żartujesz – obruszył się Douglas. – Wydaje mi się, że Montezowi ten plan zaczyna wychodzić bokiem. Naprawdę wierzył, że uprowadzenie „Luny” zmusi prezydenta do ustąpienia, a teraz nie jest niczego pewien i nie wie co robić. Jego ludzie zaczynają nadużywać nadanej im władzy. Sam widziałem dzisiaj rano, jak kilku z nich pływało w morzu, choć wątpię, żeby tego właśnie życzył sobie Montez. Niektórzy „kupują” sobie drinki wystawiając w zamian jakieś świstki

z nazwą ich organizacji.

– Poza tym nie doceniamy możliwości poszukiwań przeprowadzanych przy użyciu samolotów – stwierdził David. – Mogę się założyć, że w nocy słyszałem pomruk silników.

– Pewnie część ich oficerów będzie dzisiaj w sali balowej. Czy któraś z dziewczyn ma ochotę z nimi zatańczyć?

– Naprawdę się nie domyślasz? – zakpiła Lori. – Może powinniśmy wrócić do kajut i spędzić wieczór grając w karty i czytając książki.

Poszli jednak jak zwykle do sali balowej. Niektórzy tańczyli, część z nich zasiadła do brydża, lub zaczęła grać w bilard. Strażnicy wydawali się tego dnia jeszcze bardziej rozluźnieni. Mieli na sobie mundury, a nie wysłużone khaki. Pod koniec wieczoru okazało się, że parę młodych pasażerek swobodnie rozmawia z porywaczami.

– Jak im nie wstyd! – oburzyła się Lori.
– ; Ich matki nie będą zadowolone, kiedy się o tym dowiedzą.

– Nie powinny były tu schodzić same. Zawsze w takich wypadkach należy mieć przy boku jakiegoś mężczyznę – zauważył Craig Gardner. – One po prostu same się proszą o kłopoty.

Kiedy pasażerowie opuszczali salę, dziewczyny w dalszym ciągu tańczyły w piratami. Lori czuła się zdegustowana ich zachowaniem.

Następnego dnia zwiększono obostrzenia w użyciu wody.

Strażnicy, którzy ostatnio byli niemal serdeczni, stali się nagle bardzo ostrożni i formalni. Złapali młodego chłopaka, w momencie gdy wrzucał do oceanu butelki z wezwaniem SOS. Został on zwymyślany przez Monteza, a jego rodziców ostrzeżono, że w razie powtórzenia się takiego zachowania nie obejdzie się bez

znacznie poważniejszych konsekwencji.

W południe okazało się, że troje dzieci zachorowało na świnkę, natomiast kilka starszych osób zasłabło z powodu upału i ostatnich przejść.

– To chyba najgorszy dzień w czasie tego rejsu. Nie mówię oczywiście o dniu porwania – zauważył smutno Craig. – Musimy coś zrobić, żeby rozruszać tych ludzi. Zawodzą ich już nerwy. Powinniśmy się zebrać i naradzić w tej sprawie.

Około piątej Douglas zapukał do drzwi kajuty dziewcząt. Były akurat zajęte pisaniem listów do swoich bliskich, które miały nadzieję kiedyś wysłać.

– Co byście powiedziały na drinka przed kolacją? David zaprosił nas, Adamsów i Craiga do swojej kajuty. Jest dość mała, ale jakoś się w niej zmieścimy.

Urządzili sobie u Davida małe przyjęcie. Okazało się, że Jim i Pete są całkiem niezłymi muzykami. Przynieśli ze sobą

skrzypce oraz saksofon i przez dwie godziny w kajucie rozbrzmiewała wesoła muzyka.

W końcu zmęczeni się graniem i śpiewem postanowili zejść do jadalni. Kiedy zasiedli przy stoliku, kelner dyskretnie wsunął Douglasowi do kieszeni złożoną karteczkę. Była to wiadomość od Dicka. Douglas poprosił Lori do tańca. Gdy znaleźli się na parkiecie rozwinął mały brązowy skrawek.

„Radio znowu wysiadło. Potrzebuję kondensatora. Zdobądź go, jeżeli to możliwe”

Podzielił się tą nowiną z Lori. Zapanowało milczenie.

– Spełniły się moje najgorsze przewidywania. Istnieje niewielka szansa, że uda mi się zdobyć część, o którą prosi Dick. Chyba, żebym kogoś przekupił, aby ją dla mnie ukradł. Ta zabawa zaczyna być coraz bardziej ryzykowna. Nie chcę nawet

myśleć, jak zareagowałby Montez, gdyby się o tym dowiedział.

– Nie rób więc tego, Doug. Proszę, obiecaj mi, że tego nie zrobisz.

– Sam nie wiem. Warto spróbować. Myślę, że możemy zaufać kelnerowi, który przyniósł obie wiadomości.

W kilka minut później Douglas zostawił Lori pod opieką Jima Adamsa i udał się do kuchni, by podziękować szefowi za wyśmienitą kolację. Miał nadzieję, że spotka tam kelnera, musiał o niego jednak zapytać.

Młody kelner był z pochodzenia Portugalczykiem. Marzył, że kiedyś uda mu się wyjechać na studia do Stanów. Szef kuchni zawołał go i Douglas wręczył mu suty napiwek.

– Powiedz mi coś o sobie – zaproponował przyjaznym tonem Douglas.

– Słyszałem, że chciałbyś studiować w Ameryce.

Wyszli na pokład i zapalili papierosy. Portugalczyk narzekał na opóźnienie „Luny”, chciał wrócić „do świata” jak większość pasażerów. Douglas spytał chłopaka, czy jest w stanie im pomóc. Kelner nie miał dostępu do kabiny radionawigatora, ale znał człowieka, który mógł się tego podjąć.

– Czy można mu zaufać? Wiem, jak moglibyśmy się stąd wydostać, lecz będę potrzebował pomocy.

Portugalczyk stwierdził, że osoba, o której wspominał, jest godna zaufania. Ustalili więc, że przyjaciel kelnera postara się wykraść kondensator najszybciej, jak to możliwe, zachowując jednak przy tym maksymalną ostrożność.

Kiedy Douglas wrócił do sali balowej, Lori w dalszym ciągu tańczyła z Jimem Adamsem. Zatrzymał się przy stoliku Janet i zaczął rozmawiać z siostrą i Craigiem.

– Spójrz! – wykrzyknęła Janet, kiedy

taniec dobiegł końca. – Oto nasz kochaś, Juan. Zmierza wprost do Lori.

– Muszę go ubiec – powiedział Douglas zrywając się z krzesła.

Ale młody oficer okazał się szybszy.

– Czy mogę panią prosić? – spytał kłaniając się z gracją.

Lori wzdrygnęła się. Kątem oka ujrzała, że Douglas zbliża się do nich. Zrobiła krok w jego kierunku i odwróciła się do porywacza.

– Dziękuję, ale nie. Obiecałam ten taniec swojemu narzeczonemu. – Uśmiechnęła się słodko i wzięła Douglasa za rękę.

Mężczyzna zastąpił im drogę.

– Czy mogę prosić? Chciałbym z panią zatańczyć – upierał się.

– Ta młoda dama powiedziała „nie” – stwierdził Douglas zaciskając pięści.

Kilka okolicznych par odsunęło się na bok. Wokół stojących utworzył się duży,

pusty krąg. Dwaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy. Jim Adams trzymając delikatnie Lori pod rękę odwrócił ją do Douglasa, uklonił się i powiedział:

– Dziękuję, panno Mason.

Podszedł do Juana.

– Przejdźmy się.

– Poradzę sobie, Jim. Dziękuję – powiedział Douglas.

Juan odrzucił zaczepnie głowę do tyłu. Na ustach powoli wykwitł mu uśmiech. Dotknął delikatnie bluzy na piersiach. Lori pomyślała z przerażeniem, że ma przy sobie broń.

– Panno Mason, ten taniec jest dla mnie!
– nalegał.

Pieść Douglasa znalazła się błyskawicznie na jego podbródku. Juan wylądował na wypastowanej podłodze.

– Panno Mason, ten taniec jest dla mnie!
– Douglas zaofiarował jej ramię.

– On ma broń – szepnęła przerażona.

Juan wstał. Najbliższy strażnik podbiegł do nich trzymając w ręku rewolwer.

– Wybaczy mi pani – powiedział Juan uśmiechając się nieprzyjemnie. Podniósł się i gestem ręki odwołał strażnika.

Orkiestra zaczęła grać „Good Night, Ladies”, ale nikt nie kwapił się do tańca. Sala opustoszała w oka mgnieniu.

Lori i Janet schodząc na dół w otoczeniu eskorty mężczyzn ledwo mogły powstrzymać się od płaczu.

– Douglas, przecież on mógł cię zabić – powiedziała Janet trzęsąc się cała.

– Ale nie zabił. Ktoś musi pokazać tym świniom, jak daleko mogą się posunąć.

Douglas zostawił dziewczęta przed drzwiami ich kajuty i ruszył za Craigiem do siebie. Zapalili papierosy. Douglasa kusilo, żeby opowiedzieć młodemu doktorowi o wiadomości, jaką otrzymał od Dicka, ale postanowił zachować ją dla siebie. Jutro rano spotka się z Davidem.

Miał nadzieję, że do tego czasu będzie już miał potrzebną im część. Następnego dnia będą musieli dostarczyć ją Dickowi.

Noc była ciemna jak atrament. Douglas kładąc się spać rozważał szanse Portugalczyka na zdobycie kondensatora. Kiedyś myśleli o nadaniu sygnału SOS z pokładu „Luny”, ale pokój radiooperatora cały czas znajdował się pod ścisłą kontrolą. Czy możliwe jest więc dostanie się tam i wykradzenie potrzebnej części? Chłopak nie miał łatwego zadania. Douglas długo nie mógł zasnąć męczony obawami o powodzenie misji.

O siódmej rano obudził go młody Portugalczyk niosący tacę, na której leżały świeże bułki i kawa. Kelner uniósł wieczko małego metalowego naczynia. W środku znajdowało się pudełko z kondensatorem.

– Przykro, że pan dziś chory – powiedział chłopak łamanym angielskim.

– Mieć nadzieję, pan lepiej w południe.

– Jak ci się to udało?

Chłopak uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Okay – odparł po prostu.

Douglas położył na tacy pięciodolarowy banknot. Chłopiec potrząsnął głową, złożył banknot na pół i położył go na nocnym stoliku.

– Jesteś wspaniały! Jak mógłbym ci się odwdzięczyć?

– Okay. Do widzenia jutro. A może dziś wieczorem?

– Nie bój się, wkrótce się zobaczymy.

Kiedy Douglas został sam, przez chwilę nerwowo chodził po pokoju. Usiadł, dotknął rękami głowy i poczekał, aż całkowicie się uspokoi. Otworzył pudełko. Kondensator był zupełnie nowy, nikt przed nim nie otwierał jeszcze opakowania.

„Taka drobina, a mamy przez nią tyle kłopotów” pomyślał.

Teraz pozostało tylko dostarczyć część Dickowi. Wydawało mu się, że najlepiej postąpi, jeżeli dostanie się do Dicka w taki sam sposób jak poprzednio. Wiedział, że wiele ryzykuje, ale nie ośmielił się uczynić nic innego, czego dotąd nie sprawdzili.

Godziny ciągnęły się w nieskończoność. Tego dnia wiele osób zdecydowało się wyruszyć na ląd, a niektórzy mieli nawet kapać się w lagunie zbadanej przedtem przez doktora Gardnera.

Oderwanie się od grupy przyszło Douglasowi wyjątkowo łatwo, co bardzo go zaskoczyło. Trasa wiodąca do Dicka wydała mu się znajoma jak droga do pracy. Zbliżając się do polanki zastanawiał się, czy żona i dzieci Dicka wróciły już do domu. Miał nadzieję, że nie.

Kiedy znalazł się na miejscu, wydało mu się ono zupełnie opuszczone. Opanowały go złe przeczucia. Czyżby Dick „ulotnił się”? Zapukał we framugę.

Minęła długa chwila. Miał już wejść do środka, kiedy drzwi otwarły się gwałtownie.

Dick był zalany w trupa. Douglas patrzył na niego z przerażeniem.

– Masz? – spytał Dick.

Doug skinął głową, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. Bał się zostawiać kondensator. Ten mały kawałek metalu oznaczał wolność dla siedmiuset ludzi. Jeżeli Dick go zniszczy...

– Więc daj mi go, synku. Obiecuję, że będzie u mnie bezpieczny.

Douglas zaczął się zastanawiać, czy sam nie byłby w stanie naprawić radia i nadać wiadomości. Zdawał sobie jednak, sprawę jak duże jest ryzyko uczynienia tego w ciągu dnia.

– Dick, chłopie, potrzebujemy cię. Może zrobię ci kawę?

„Nie mogę tu zostać. Za chwilę, ktoś może zauważyć moje zniknięcie.

Powinienem był wiedzieć, że ten włóczęga nam nie pomoże. "

– Nie lubię kawy – stwierdził Dick, starając się być dowcipny. – Nic się nie martw. Naprawię to żelastwo. Idź do domu, to znaczy, wracaj na ten swój statek. Dick sprowadzi tu dobrego Wuję Sama *pronto*.

Po wielokrotnych przysięgach i ciągłym poklepywaniu w plecy przez Dicka, Douglas zdecydował się wrócić. Był przekonany, że nadzieja na wysłanie wiadomości została właśnie pogrzebana.

Po powrocie na „Lunę” powiedział Davidowi o tym, co widział.

– Mam nadzieję, że do północy wytrzeźwieje – stwierdził zaniepokojony David. – I będzie w stanie nadać wiadomość.

– Tego jestem akurat pewien. Boję się jednak, że zanim wytrzeźwieje, zabierze się za naprawianie radia i wszystko

schrzani.

Rozdział 8

Wieczór był raczej spokojny. Lori wyglądała przez otwarty bulaj. Wydawało jej się, że światła zapalono tego dnia dość wcześnie.

– Słyszysz? – spytała nagle Janet.

– Co?

– Nic, to chyba tylko moja wyobraźnia.

– A o czym myślałaś?

– Wydawało mi się, że słyszę samoloty.

Lori otworzyła drzwi na korytarz i wyglądnęła na zewnątrz. W świetle dwóch przyćmionych żarówek na obu końcach korytarza ujrzała, że z każdej kabiny wyglądają zaniepokojeni pasażerowie.

– Co się stało? – spytała.

Douglas podbiegł do niej.

– Zostańcie w kajucie. Idę do jadalni.

Wrócił po kilka minutach. Wszyscy z niecierpliwością czekali na nowiny.

– Prawdopodobnie to były samoloty. Co prawda odleciały, ale mogły nas zobaczyć na radarach.

Byli tak podekscytowani, że nie mogli zasnąć. Większość pasażerów sen zmógł dopiero nad ranem.

Janet i Lori obudziły się prawie z poczuciem winy, jakby w ciągu nocy przegapiły coś ważnego. Szybko umyły się, ubrały i zeszły na śniadanie.

Dziewczęta z rozczarowaniem stwierdziły, że atmosfera na statku nie zmieniła się od wczoraj ani o jotę. Kiedy weszły do jadalni, okazało się, że Douglasa tam nie ma.

Zamówiły śniadanie, po chwili dołączyła do nich zaspana Paula.

– Co się ze mną dzieje? – zapytała siadając. – Nie jestem w stanie nawet otworzyć oczu.

– Ty śpiochu! Pewnie przespałaś też wczorajsze samoloty. Nie przypominam

sobie, żebym widziała cię wczoraj na korytarzu.

– Rzeczywiście, poszliśmy spać koło jedenastej, a ja śpię jak głaz. Pewnie dlatego, że ostatnio tyle kręcę się po wyspie.

Przez głośnik dobył się jakiś nagły, ostry dźwięk.

– Proszę państwa – odezwał się wibrujący głos. – Prowadzimy negocjacje z marynarką wojenną Stanów Zjednoczonych. O ich przebiegu będziemy państwa informować.

W oczach Janet pojawiły się łzy, Lori z trudem powstrzymywała się od płaczu. W całym pomieszczeniu rozbrzmiewały okrzyki i rozmowy. Drzwi wyjściowe otwarły się, pojawiło się w nich czterech mężczyzn.

– Doug! Ach, Doug! – Janet zerwała się z krzesła, wybiegła mu na spotkanie i zarzuciła ramiona na szyję. – Gzy to nie

cudowne?

– Nie uduś go! A ja się już zupełnie nie liczę? – wtrącił Craig Gardner.

– Powiedzcie nam wszystko, co wiecie!
– podniosły się głosy z sali.

– Co się dzieje?

– Czy to prawda? Czy marynarka jest blisko?

– Panie sędzio, pan jest dobrym mówcą. Może pan im powie? – zaproponował Douglas.

– No dobrze – zgodził się starszy mężczyzna. – Ostatniej nocy nad naszym statkiem przeleciało kilka odrzutowców. Prawdopodobnie widziały nas na ekranach radarów. Ostatnio kręciły się po tej okolicy, ale sami dobrze wiecie, na jakim odludziu się znajdujemy. W chwili obecnej nasza pozycja jest znana rządowi Stanów Zjednoczonych. Kapitan Montez prowadzi z nimi pertraktacje na temat uwolnienia pasażerów i statku.

– Jakie są nasze szanse na szybkie wydostanie się stąd?

– Duże – stwierdził sędzia Moore. – Montez nie może wojować z całym światem, a bądźcie pewni, że do tego musiałyby dojść, jeżeli chciałby nas tu zatrzymać. Musimy więc teraz zgodzić się na jak najdalej idącą współpracę. – Sędzia skończył i usiadł przy stoliku.

Wśród pasażerów zapanowało podniecenie. Cała sala huczała od rozmów i śmiechu. Wkrótce wszędzie na „Lunie” rozbrzmiewały radosne okrzyki.

Dzień bardzo się wszystkim dłużył, oczekiwano na wyniki rozmów. Mnożyły się plotki. O pierwszej niedaleko statku wylądował hydroplan przynosząc nie byle kogo, bo kontradmirała Younga do prowadzenia rozmów z Montezem.

Kiedy Young odleciał, pasażerowie usłyszeli nadany przez głośniki komunikat wzywający ich na zebranie.

– Proszę państwa – zaczął Montez. – Chciałbym państwu podziękować za to, że współpracowaliście z nami w ciągu kilku ostatnich dni. Jutro zawiniemy do portu. Ci z państwa, którzy zechcą, będą mogli zejść tam na ląd, a pozostali mogą spokojnie kontynuować rejs.

Jego słowa zagłuszył wybuch radości. Montez uniósł rękę do góry.

– Pragnę dodać, że mimo, iż nie udało nam się osiągnąć zamierzonego celu, prezydent naszego kraju obiecał, że w nowym rządzie nasze ugrupowanie dostanie parę ministerstw. Doszło więc do kompromisu. Z tej okazji dziś wieczorem zostanie wydana Kolacja Wolności. Dziękuję państwu za uwagę.

Po raz kolejny statek zakołysał się od wybuchów radości. Około czwartej obok „Luny” wylądował mniejszy hydroplan z reporterem z „San Francisco Chronicle”. Chciał koniecznie przeprowadzić wywiad

z pasażerami i załogą. Montez nie zgodził się jednak. Reporter usiłował wpłynąć jakoś na przywódcę porywaczy, lecz na nic to się nie zdało. Po kilku minutach samolot wzbił się w powietrze i odleciał.

– Oto przedsmak tego, co czeka nas, gdy tylko znajdziemy się w porcie – zauważył Douglas. Stali z Lori na pokładzie i patrzyli na znikający w przestworzach samolot.

– Jak sądzisz, czy sprowadzenie tu marynarki ma jakiś związek z naszym przyjacielem z wyspy?

Douglas uśmiechnął się.

– Chciałbym, żeby tak było, ale nie dowiemy się tego, dopóki nie uda nam się z nim skontaktować. Czekam na jego ruch. Myślałem o posłaniu mu jakiegoś dowodu wdzięczności. Założę się, że teraz Montez nie będzie czynił nam żadnych ograniczeń w kontaktach z tubylcami.

– Czy masz zamiar spotkać się z

Dickiem?

– Właśnie się zastanawiam. On może sobie tego nie życzyć. W końcu jest tu znaną postacią i spotkanie z nami może mu nie wyjść na dobre.

W sklepie kupili parę książek, tytoń, papierosy, dwie sportowe koszule i pięć butelek szampana. Do tego wszystkiego dodali małą karteczkę:

„Dla Amerykanina od kilku wdzięcznych rodaków. " Douglas zaniósł paczkę portugalskiemu kelnerowi i poprosił go, by dostarczył ją osobiście Dickowi. Chłopak obiecał pomoc, a parę godzin później zapukał do drzwi kajuty Douglasa przynosząc podziękowania.

– Czy Dick przysłał jakąś wiadomość?

– Kazał powiedzieć, że bardzo dziękuje za prezent.

O zachodzie słońca „Luna” opuściła zatokę u wybrzeży Tangarevy i wypłynęła na pełne morze. Pasażerom w dalszym

ciągu nie powiedziano, do jakiego portu mają zawinąć, lecz większość z nich nie chciała opuszczać statku. Po odnowieniu niezbędnych zapasów luksusowy rejs miał być kontynuowany.

Tej nocy na pokładzie „Luny” mało kto zmrużył oko. Wydana przez Monteza Kolacja Wolności okazała się bardzo wystawna. Serwowano wyśmienite koktajle, posiłek składał się z czterech dań, naruszono „żelazne zapasy”. Wkrótce w porcie wszystkie miały być przecież uzupełnione.

– Jako amerykańscy obywatele chcemy wrócić na szlak rejsu i pozbyć się tych piratów, tak szybko jak to tylko możliwe – powiedział Douglas do kapitana.

– Żałuję, że część pasażerów pragnie opuścić „Lunę”. Mogą zejść na ląd w Australii, choć wolałbym, żeby płynęli z nami dalej. Decyzja należy jednak do nich, niektórzy bardzo źle znieśli to, co się tu

stało. Może tak będzie lepiej.

Pod koniec wieczoru ogłoszono, że Australia zgodziła się, aby statek zawinął do któregoś z jej portów, a pasażerowie chcący opuścić „Lunę” mogą to uczynić bez kłopotu.

Lori i Janet chciały jak najszybciej skontaktować się ze swymi rodzinami, lecz kapitan nie zezwolił na prywatne telegramy. Wydano natomiast biuletyn dla Associated Press stwierdzający, że pasażerowie czują się dobrze i nie zagraża im niebezpieczeństwo. Wiadomość tę nadały później wszystkie stacje telewizyjne w Stanach.

Rano na horyzoncie ukazał się archipelag dużych wysp. Po zapewnieniu kapitana, że wkrótce zawiną do portu w Australii, nikt nie zdecydował się zejść na ląd.

Wpłynęli na bardziej uczęszczane wody. Co jakiś czas mijali inne jednostki. Choć

dowodzenie statkiem nadal pozostawało w rękach porywaczy, to pasażerowie mieli świadomość, że w pobliżu zawsze znajduje się niszczyciel, a pokazujące się na niebie samoloty odrzutowe kontrolowały, czy „Luna” płynie wytyczonym szlakiem.

Trzeciego dnia doszło do wybuchu niezadowolenia na pokładzie trzeciej klasy. Pasażerowie zażądali, by dowództwo objął na powrót kapitan Stark. Właśnie mijali wyspę ze wsparcia zatoką. Niezadowoleni pasażerowie domagali się spotkania z Montezem. Doszło do niego w jadalni, gdyż aż pięćdziesiąt osób chciało rozmawiać z przywódcą piratów.

Gdy ten pojawił się w drzwiach wejściowych, otoczony eskortą uzbrojoną w pistolety maszynowe, z sali rozległy się okrzyki.

– Żądamy, żeby kapitan Stark dowodził „Luną”!

– Chcemy zawinąć do tej zatoki!

Zmieniliśmy zdanie.

– Panowie – uspokajał Montez. – Nie jesteśmy na to przygotowani. Najlepiej będzie, jeśli popłyniemy dalej.

– Dość tego przetrzymywania nas! Żądamy Starka!

– Proszę wrócić do swoich kajut. Nie chcemy tu żadnych kłopotów. – Głos Monteza był zdecydowany. – Moi ludzie mają instrukcję, by strzelać, jeżeli to okaże się konieczne. Musicie pamiętać, że zastrzeliliśmy już dwóch marynarzy i nie zawahamy się użyć broni.

– Tylko spróbuj! Sam wpakowałeś się w kłopoty po same uszy, ty morderco!

– W porządku. Mielibyśmy kłopoty, jeżeli wysadzilibyśmy was w niewłaściwym miejscu. Wkrótce będziemy w Sydney. W jadalni serwowane będzie darmowe piwo.

– Nie kupisz nas piwem. Chcemy Starka!

W tym momencie na szczycie schodów pojawił się kapitan Stark.

– Kapitan Montez ma rację. Ta wyspa nie jest przygotowana na wasze przybycie. Nastąpiłoby tylko niepotrzebne opóźnienie. Naprawdę byłoby lepiej, gdybyśmy zgodzili się na współpracę. Od Sydney dzieli nas zaledwie paręnaście godzin. Panowie, błagam, trochę cierpliwości.

Przez salę przebiegł pomruk. Mężczyźni powoli rozeszli się. Nie chcieli jednak skorzystać z piwa ofiarowanego przez Monteza.

– Na pewno są odważni, ale niezbyt mądrzy. Gdyby nie obecność niszczyciela, mogliby się wpakować w niezłe tarapaty – stwierdził Douglas.

– Gorące głowy. Ta nieszczęśliwa sytuacja trwa za długo, emocje zaczynają brać górę. Tłum zawsze rządził się swoimi prawami – zauważył Craig. – Pamiętaj,

że jeszcze niedawno, kiedy groził nam wybuch epidemii, pasażerowie celowo odkręcali kurki z wodą. Tak jakby nie wiedzieli, że mogą zaszkodzić tylko sobie i załodze. Nie wierzę, by piraci najpierw nie zatroszczyli się o swoje potrzeby.

Po południu na pokład trafiły gazety sprzed tygodnia. Pasażerowie rzucili się na nie jak wygłodniałe wilki. Każdy chciał wiedzieć, co stało się na świecie w czasie, gdy byli zupełnie odcięci od cywilizacji.

W Sydney odebrali także ogromne torby z korespondencją. Lori dostała telegram od rodziców, którzy z ulgą przyjęli wiadomość o jej uwolnieniu.

Wieczorem pogoda była wspaniała. Na rozgwieżdżonym niebie lśnił ogromny księżyc w pełni. Kiedy Lori wyszła z Douglasem na spacer, okazało się, że bardzo dużo osób wpadło na podobny pomysł i pokład zapełnił się młodymi parami przechadzającymi się w świetle

księżycą i trzymającymi się za ręce.

Większość tych ludzi opuści statek – powiedział Douglas. – Kapitan Stark uważa, że tak będzie najlepiej. Nawet, jeżeli armator będzie musiał oddać im część pieniędzy i zorganizować odloty z Sydney do miejsc, które sobie wybiorą.

– Czy ty i Janet jesteście zdecydowani kontynuować podróż?

– Tak, Lori. Ominęliśmy co prawda parę wysp, ale opóźnienie nie jest wcale takie wielkie. A co z tobą?

Lori zawahała się.

– Mogłabym sobie darować kilka europejskich krajów, ale mam przeczucie, że szef da mi jeszcze tydzień wolnego. Muszę to sprawdzić.

Douglas uniósł delikatnie jej podbródek i powiedział miękko:

– Gdyby nie ta nerwówka, którą ostatnio przeżyliśmy, mógłbym być tylko wdzięczny piratom, że dali mi szansę

lepiej cię poznać, Lori.

– Czasami czuję się winna gdy, to co przeszliśmy, wydaje mi się romantyczną przygodą. Choć – dodała – były też przecież groźne momenty, które nie miały nic wspólnego z romantyką. Przyznaję, że nieraz bardzo się bałam.

– Czeka na nas jeszcze mnóstwo miejsc, które koniecznie trzeba zobaczyć. Chciałbym ci pokazać Paryż. Mam tam przyjaciół, u których moglibyśmy się zatrzymać. Wezmę cię na przejażdżkę łódką po Sekwanie, przejdziemy się po Polach Elizejskich. Zobaczysz grób Napoleona, pałace, katedrę Notre Dame. Jeśli chciałbym ci dokładnie pokazać Luwr, zajęłoby to nam pewnie z rok.

Lori nie odpowiedziała. Wrócili do sali balowej i przyłączyli się do grupy przyjaciół. Orkiestra grała składankę starych piosenek, Lori wydawało się, że muzyka nadawała się do tańca jak nigdy

przedtem.

Nastrój tego wieczoru był wyjątkowy. Wiadomość od rodziców sprawiła jej dużą radość i ulgę, w domu wszystko układało się dobrze. Ojciec pisał, że matka przeżyła ciężkie chwile w ostatnim tygodniu, lecz teraz, kiedy była pewna, że córce nie grozi już żadne niebezpieczeństwo, szybko wracała do siebie.

Załoga otrząsnęła się z marazmu, jaki ogarnął ją w czasie porwania statku. Obsługa pracowała bez zarzutu, pokłady lśniły czystością. Niechlujne stroje i wylegiwanie się w słońcu, co miało miejsce jeszcze tak niedawno, wydawały się teraz odległe i nierealne. Montez i jego oficerowie zniknęli gdzieś, choć pozostawiono strażników w newralgicznych punktach statku.

Okolo jedenastej przyszła pora na występy artystyczne. Prezentowano nowe skecze, a zespół tancerek przygotował

specjalny program na ten dzień. Prezentowały tańce, których nauczyły się w czasie pobytu na Tangarevie. Z początku na sali podniosły się głosy niezadowolenia, lecz później pasażerowie potraktowali występ z dużą dozą poczucia humoru.

– Ach, cieszę się, że udało nam się już opuścić tę wyspę – powiedział Jim Adams patrząc na tancerki. – Może niektórym wydała się ona rajem, sam lubię podróżować, ale nie marzy mi się kariera Robinsona Crusoe.

– Ani mnie – wtrąciła szybko Janet.

– Pomyśl, że kiedyś będziesz opowiadała własnym dzieciom, jak to zostałeś porwana przez piratów i na wyspie zamieszkannej przez kanibali musiałeś walczyć o coś do jedzenia – zaśmiał się Pete.

– No, nie było tak źle. Znaleźliśmy z Paulą kilka interesujących gatunków nad strumieniem i parę niezwykle rzadkich

muszli, które oglądaliśmy w katalogach, ale których nigdy dotąd nie widzieliśmy na własne oczy – zaproponował David.

– Jakie to urocze – skrzywił się Craig. – Ale zbyt niebezpieczne, żeby miało mnie bawić. – Położył palec na usta. – Cicho!

Dwie piosenkarki ułożyły własne słowa do melodii „Tequila!“. Piosenka opowiadała o porwaniu „Luny”, niebezpieczeństwie i wydarzeniach, jakie rozegrały się na pokładzie.

„Pewna dziewczyna imieniem Lori... ” zaczynał się kolejna zwrotka, która opowiadała o młodym oficerze, Juanie, którego zauroczyła uroda Lori. Posłał jej szampana, zaprosił do tańca, i mimo, że mu odmówiła nie chciał od niej odstąpić. Wtedy na jego drodze stanął narzeczony dziewczyny i jednym ciosem powalił zalotnika na ziemię.

„Lecz to nie koniec historii, Dziewczyny imieniem Lori... ”

Lori usiadła czerwieniąc się. Musiała udawać nonszalancję, zaczęła się więc śmiać. Dlaczego miałyby psuć przyjęcie? Następną zwrotką dotyczyła naukowców:

„Byli sobie David i Paula, Co często tańczyli hula... ”

Następnie piosenkarki zaśpiewały o Pete'cie i Jimie, a potem przyszła kolej na Janet i Craiga. Piosenka miała jeszcze kilka zwrotek i mówiła o paru powszechnie znanych na pokładzie osobach. Publiczność bawiła się świetnie. Pasażerowie tańczyli, bądź klaskali w takt melodii.

Około północy zabawa dobiegła końca.

– To było nadzwyczajne – zauważyła Janet.

– Jak za starych, dobrych czasów – westchnęła Lori.

Ale naprawdę wcale tak nie uważała. Ten świat nie istniał w rzeczywistości. A rzeczywistość przedstawiała się bardzo

prozaicznie. Gdyby była rozsądna, następnego dnia wsiadłaby w samolot lecący do Londynu, a potem wróciła prosto do domu.

Douglas pocałował ją na dobranoc z jakąś dziwną nieśmiałością. Pod koniec przyjęcia zachowywał się bardzo cicho. W czasie zwrotki o Lori w ogóle się nie śmiał. Zastanawiała się, co naprawdę myślał o tym wszystkim.

Kiedy szcztokowała włosy światło lampy odbiło się w pierścionku. Zdała sobie sprawę, że nie będzie wolno jej go nosić, kiedy znajdą się w Sydney i Juan opuści statek. Lekko zadrżała. To niemal nieprawdopodobne, ale po incydencie na sali balowej nie starał się z nią w żaden sposób skontaktować. Może zrozumiał, że nic nie jest w stanie zdziałać i zrezygnował?

Rozdział 9

Lori siedziała sama w kajucie rozmyślając o wydarzeniach ostatnich tygodni. „Luna” znajdowała się pod opieką rządu Stanów Zjednoczonych, po południu mieli zawinąć do Sydney. Przed oczami pojawiały jej się sceny sprzed porwania. Przypominała sobie wyspy, na których się zatrzymywali, egzotyczne tańce i śpiewy, dziką i piękną roślinność, naręcza kwiatów, orgię kolorów. Od przyjaciół na Hawajach dostała list, w którym pisali, że przesłali zdjęcia z ich pobytu na archipelagu na jej adres w Ameryce.

Na stoliku nocnym leżała rozłożona biała kartka.

„Cieszymy się, że jesteś bezpieczna. Przedłużamy ci wakacje o dwa tygodnie. Baw się dobrze!”

Telegram był podpisany przez

prezydenta Universal Steel Corporation. Za każdym razem, kiedy Lori na niego patrzyła, ogarniała ją fala gorąca.

Po wspaniałym obiedzie pasażerowie wylegli na pokład. Zbliżali się do Sydney. Na ich powitanie wypłynęło mnóstwo małych łodzi i jachtów. Doki roily się od zgromadzonych tam tłumu ciekawskich, których policja starała odsunąć od nabrzeża.

Pasażerów zaskoczyła wiadomość, że mają zejść do swoich kajut i pozostać tam, dopóki piraci nie zejdą na ląd.

– Ale dlaczego? – pytała Lori.

– No, ktoś mógłby wpaść na pomysł, żeby się zemścić – odparł Douglas. – Przypominasz sobie, że na początku mieliśmy dwóch zabitych. Jeżeli na „Lunie” została jeszcze jakaś ukryta broń, to w tej chwili jest najlepszy moment, by jej użyć.

Po piętnastu minutach ogłoszono, że

statek jest wolny. Nim Lori wyszła ze swojej kajuty, steward przyniósł jej wiadomość.

Na ozdobnej kartce papieru widniał starannie wykaligrafowany tekst, który mile ją połechtał:

„Piękna Pani, żałuję, że nasze losy potoczyły się właśnie w ten sposób. Będę zawsze o Pani pamiętał. Pani wielbiciel, Juan”.

– Musiałam ci to pokazać, Douglas. Jak widzisz, umiał odejść z honorem.

– Musisz wkleić tę kartkę do pamiętnika – zaśmiał się. – Ten chłopak zupełnie zwariował na twoim punkcie. Żał mi go. Nie mógł mieć żadnej nadziei.

Lori i Douglas oraz Janet i Craig wybrali się do Sydney. Najpierw przeszli się po dzielnicy handlowej, a potem ruszyli na zwiedzanie miasta.

"To jest nareszcie to! W końcu czuję się jak na wakacjach!", pomyślała Lori, kiedy

wałęsali się po wąskich uliczkach starej części Sydney.

Na kolację wybrali się do hotelu serwującego europejskie posiłki. Wydał im się trochę staroświecki, panująca w nim atmosfera przywodziła na myśl najlepsze czasy imperium brytyjskiego. Starali się nie rozmawiać o zajściach ostatniego tygodnia, lecz w końcu ktoś musiał zadać nurtujące wszystkich pytanie:

– A co się teraz stanie »z Montezem?

– Prawdopodobnie wyląduje w gabinecie prezydenta, jako jeden z ministrów albo doradców. Trzeba przyznać, że facetowi naprawdę udało się porwanie „Luny”. Zamienił bandycki akt w symbol walki o wolność. Ciekawe, jak poradzi sobie z tym świat?

– Nie może mu to ująć na sucho. Dałoby się w ten sposób zły przykład. Teraz każdy bandzior czułby, że może pozwolić sobie na wszystko i nie poniesie żadnych

konsekwencji.

– Powinniśmy być wdzięczni losowi, że udało nam się tak z tego wywinąć. Bywały chwile, gdy traciliśmy nadzieję, że uda nam się uniknąć tragedii – zauważył doktor Gardner. – Mieliśmy szczęście! A ja miałem tym większe szczęście, że znalazłem Janet.

Dziewczyna zaczerwieniła się. Ujęła go za rękę i westchnęła.

– Jak mam ci odpowiedzieć? Muszę skończyć przynajmniej jeszcze jeden rok studiów, Craig.

– Poczekam. Będzie warto.

Wieczorem kilka par wybrało się do nocnego klubu. Bracia Adamsowie umówili się z dwoma dziewczynami podróżującymi drugą klasą. Zabawa rozkręciła się na dobre, około jedenastej dołączył do nich David ze swą żoną Paulą. Przynieśli najnowsze wiadomości na temat porywaczy.

– Montez ze swoimi ludźmi zostali przewiezieni gdzieś samolotem neutralnego państwa, prawdopodobnie szwajcarskim. Nie znam ich miejsca pobytu, ale kapitan Stark powiedział, że ich własny kraj nie zgodził się na przyjęcie ich z powrotem. Porywacze dobrowolnie złożyli broń dziś rano.

Niespodziewanie w klubie pojawili się reporterzy i fotografowie, robiąc zamieszanie i strzelając zdjęcia.

– Podobno jeden z rebelianckich oficerów starał się o względy którejś z dziewcząt. Czy ktoś może mi ją wskazać?

– To ona! – powiedziały jednocześnie Janet i Lori wskazując głową na przyjaciółkę.

– Tak naprawdę było ich dwie – zaśmiał się Pete Adams.

– Czy chciałyby panie powiedzieć parę słów dla prasy?

– Byłam zbyt przerażona, aby myśleć o

romansach – zaczęła Janet.

– A pani, panno Mason?

– Te wydarzenia naprawdę nie są warte wzmianki. Wolałabym do nich nie wracać. Ten pan mnie przeprosił za swoje zachowanie.

– Jak pani sobie życzy, chociaż można by z tego zrobić niezłą historię.

Lori potrząsnęła przecząco głową, ale w tym momencie błysnął flesz i wiedziała już, że jej zdjęcie pojawi się następnego dnia w gazetach, być może na całym świecie.

„To nie ma żadnego znaczenia”, powiedziała sobie, „teraz jestem zupełnie nieważną osobą żyjącą w małym miasteczku”. Dobrze jednak, że upłynie jeszcze trochę czasu, zanim wróci do domu.

Czyżby więc podjęła już decyzję?

„Oczywiście” odpowiedziała sobie natychmiast. Jakżeby mogła postąpić

inaczej po tym wszystkim, co zrobiono dla niej w biurze? Tuż przed zejściem z pokładu „Luny” ściągnęła swój „zareczynowy” pierścionek. Zastanawiała się, czy Douglas zauważy, że już go nie nosi.

– Robi się późno! – westchnęła w pewnej chwili Janet. – Chyba powinniśmy powoli wracać na statek.

Wrócili taksówkami do portu. Lori pomyślała, że chyba dopiero w swoim domu w Michigan poczuje się znowu naprawdę bezpieczna. Z ulgą przyjęła obecność amerykańskiej załogi na pokładzie „Luny”. Pasażerowie ruszyli w kierunku swoich kajut, Lori i Janet zostały odprowadzone aż pod drzwi przez towarzyszących im mężczyzn.

– Przyjemnie było znaleźć się znowu w prawdziwym mieście – stwierdziła Lori.

– Młoda damo, zauważyłem, że zdjęłaś swój, to znaczy nasz, pierścionek

zaręczynowy. – Douglas wziął ją za rękę i pogładził delikatnie. – Wyjaśnij mi, co lub kto cię do tego upoważnił?

Lori milczała przez chwilę zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie mam już powodu, aby go nosić, Douglas – odparła w końcu. – Myślałam, że to tylko chwilowa konieczność.

– Wiem, że sposób, w jaki się zaręczyliśmy, nie był specjalnie romantyczny. Może jednak spróbujemy jeszcze raz?

– Naprawdę sędzę, że powinniśmy się najpierw lepiej poznać. Tak naprawdę prawie nic o mnie nie wiesz.

– To się da szybko naprawić – odparł przytulając ją i całując w usta.

Chwilę później Lori leżała w łóżku przewracając się niespokojnie z boku na bok i myśląc o swoich zaręczynach z Timem Anthonym. Nie chciała popełnić kolejnego błędu. A poza tym, Douglas

wcale jej się tak naprawdę nie oświadczył.

– Przecież możemy połączyć przyjemne z pożytecznym i wykorzystać tę naszą nadprogramową wycieczkę – przekonywał Douglas. – Mam umówione spotkanie z pewnym biznesmenem. Jeśli się dogadamy, może będę musiał wrócić do Mediolanu i zbudować dla niego drapacz chmur – dodał żartobliwie.

– Sądzę, że mogłabym pojechać z tobą – uśmiechnęła się Lori. Była już z Tinsleyami na trzech innych „dodatkowych wycieczkach”, od kiedy dotarli wreszcie do Europy. Rodzeństwo odwiedzało swoich przyjaciół, ostatni z nich mieszkał w Biarritz, w pobliżu wspaniałej plaży.

„Nasza wyprawa była naprawdę wspaniała, opowiem ci o niej dokładnie po powrocie”, pisała Lori z Biarritz, miasteczka na południowo-zachodnim wybrzeżu Francji, w liście do Kitty.

Spędziła cztery upojne dni z Tinsleyami i ich przyjaciółmi, państwem de Seville. Pierwszego dnia czuła się wśród nich bardzo nieswojo, ale szybko przywykła do luksusowego stylu życia, zwłaszcza, że nie kosztowało ją to ani grosza.

Doktor Gardner już dawno pożegnał się z nimi i odleciał z powrotem do Stanów. Od czasu do czasu, podczas swoich indywidualnych wycieczek, wpadali na znajomych ze statku. Lori nie przewidywała jednak w swoich planach podróży do Mediolanu.

– Będiesz zachwycona. Zobaczysz coś zupełnie nowego – przekonywała ją Janet.
– Doug musi jechać, będzie mieszkał we wspaniałym domu. Tam jest naprawdę pięknie, zapewniam cię, że te widoki będziesz pamiętała do końca życia.

Tak więc któregoś upalnego popołudnia Lori znalazła się razem z Tinsleyami w siedzibie senatora Mądro Madronia –

średniowiecznym zamku o dwudziestu pokojach nadających się do użytku. Pozostała część rezydencji była zrujnowana.

– Przekonasz się, że Mediolan jest nie tylko dużym centrum przemysłowym. Senator jest właścicielem fabryk bawełny i stali, interesuje się również sztuką. Należy do jednej z najstarszych włoskich rodzin, ma jednak zupełnie współczesne podejście do wielu spraw. Jest postępowym człowiekiem, czego nie da się powiedzieć o większości mieszkańców tego miasta.

Senator musiał uczestniczyć w jakiejś ważnej konferencji, na powitanie gości wyszły więc jego żona i córka.

Zaczęły gawędzić z Janet, a Lori i Douglas mogli w tym czasie oglądać posiadłość.

Pojawiło się dwóch służących, by zabrać ich bagaże. Po raz kolejny Lori znalazła się w luksusowym świecie. Fortuna

Madroniów sięgała czasów, kiedy Włochy znajdowały się w rękach baronów-łupieżców. Jak jednak zapewniała pani domu, ich bogactwo nie pochodziło z kradzieży i rozbojów. Rodzina wywodziła się ze Szwajcarii i była z tego powodu bardzo dumna. Lori cieszyła się, że Janet i Douglas wzięli ją ze sobą i dali jej okazję poznania prawdziwych arystokratów.

Wybrali się jak zwykle na zwiedzanie miasta. Zobaczyli słynną La Scalę, gmach opery. Lori nie mogła powstrzymać okrzyku zachwytu, kiedy znaleźli się w byłym dominikańskim refektarzu, w którym wystawiono „Ostatnią Wieczerzę” Leonarda da Vinci.

Pobyty w Mediolanie przeciągnął się do trzech dni. Lori oszołomił przepych i bogactwo starego miasta. Muzea, place, zaułki, gościnność gospodarzy, wymyślających dla nich coraz to nowe miejsca do zwiedzenia, a wieczorami

wystawne kolacje. Lori miała wrażenie, że jej życie zamieniło się w bajkę.

– Rzeczywiście wybierasz się na tę konferencję? – spytała Lori ostatniego ranka.

– No cóż, senator życzy sobie, żebym tu jeszcze kiedyś wrócił – stwierdził Douglas.

– Na pewno spodoba mi się praca dla niego. Mam nadzieję, że uda mi się spełnić jego oczekiwania i zaprojektować coś odpowiedniego, choć z pewnością nie będzie to łatwe.

Lori uśmiechnęła się.

– A może zaadaptujesz coś z Tangarevy?

– Jesteś małą wiedźmą! – zaśmiał się Douglas. – Ale będę o tym pamiętał. Chodzi ci zapewne o coś prostego, najlepiej z wikliny?

– Te chaty miały w sobie jakiś urok – zauważyła.

– Przypominam ci, że minęło kilka dni,

odkąd mieliśmy okazję przyglądać się prymitywnemu życiu na morzach południowych.

– W takim razie pozwól, że i ja ci coś przypomnę. Za trzy dni mamy znaleźć się w Hawrze na pokładzie „Luny”.

– Nie martw się. Będziemy tam na czas. Jeszcze tylko wizyta w Paryżu. Jest jedno miejsce, które chciałbym ci pokazać.

Paryż przywitał ich piękną pogodą. Janet miała zostać tu i nie wracała już do Stanów. I choć żal jej było rozstawać się z bratem i Lori, cieszyła się, że ma przed sobą rok na Sorbonie.

Przechadzali się Rue de la Paix, zwiedzali pałace i Luwr, lunch zjedli w małej restauracji na szczycie wieży Eiffela. Ostatniego wieczoru Janet stwierdziła, że ma parę listów do napisania, ale Lori czuła, że chce po prostu podarować im ten ostatni paryski wieczór we dwoje. Douglas zaprosił ją do restauracji Enghien-Les-

Bains, która znajdowała się jedenaście kilometrów za Paryżem. Był tam również teatr i kasyno.

Kolację jedli na małym zewnętrznym tarasie. W tym miejscu panowała atmosfera odosobnienia i spokoju, z głównej sali dochodziły dźwięki granej przez orkiestrę melodii. Lori poprosiła Douglasa, aby wybrał z menu coś dla niej. Po wspaniałej uczcie wpadli na chwilę do kasyna. Lori z zadowoleniem zauważyła, że Douglasa zupełnie nie pociąga hazard, zaryzykował tylko kilka dolarów, głównie po to, by móc się pochwalić, że grał kiedyś w kasynie.

Po godzinie ponownie wyszli na taras. Księżyc w pełni odbijał się w basenie, cicho szumiała fontanna, z dołu dochodził upojny zapach kwiatów. Lori poczuła, że ogarnia ją nostalgia. Uśmiechnęła się w duchu – być w Paryżu i myśleć o Michigan!

– Jak tu pięknie! – powiedziała na głos.
– Cieszę się, że właśnie tu mnie zaprosiłeś.

Douglas uściskał jej dłoń.

– Wiedziałem, że ci się spodoba.

Trzymając się za ręce podeszli do małego mostku i oparli się o poręcz, podziwiając refleksy światła na wodzie.

– Lori – zaczął poważnie Douglas. – Jest jeszcze jeden powód, dla którego cię tu przyprowadziłem. Właśnie tu chciałem cię poprosić, abyś została moją żoną. Wiem, że spotkaliśmy się po raz pierwszy zaledwie parę tygodni temu, ale podczas pobytu na wyspie staliśmy się bardzo dobrymi przyjaciółmi. Nie chcę długo czekać, nie mam ochoty na długie narzeczeństwo, ale zostawię ci jeszcze trochę czasu na lepsze poznanie mnie.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął małe pudełeczko. W środku znajdował się złoty zaręczynowy pierścionek z brylantem.

Musiałem jakoś zastąpić ten, który od ciebie pożyczyłem.

– Och, ale naprawdę nie o to chodziło...

Położył palec na jej ustach.

– Wiem, że nie. Ale to się zmieniło – przynajmniej dla mnie. Czy przyjmiesz go ode mnie?

Lori na zawsze zapamiętała ten wieczór i moment, w którym Douglas założył na jej palec pierścionek. Nigdy go już nie zdejmie.